

tytuł: "Niedzielne dziecko"  
autor: Ingmar Bergman  
przełożyła: Halina Thylwe

Prószyński i S-ka  
Warszawa 1994

\* \* \*

## I

Pamiętam, że stosunek babci i wuja Carla do naszego domu letniskowego był wyjątkowo krytyczny, ale z różnych powodów. Wuj - choć uchodził za lekko pomyłonego, wiedział niejedno - stwierdził, że nie jest to żaden dom, willa też nie, a już z całą pewnością nie da się tego nazwać mieszkaniem. Ów fenomen architektury można byłoby ewentualnie uznać za kompozycję poustawianych obok siebie i jedna na drugiej czerwonych skrzyń. Zdaniem wuja przypominał trochę gmach Opery Sztokholmskiej.

A więc kilka pomalowanych na czerwono skrzyń z białymi węglami, ozdobionych tu i ówdzie białymi gzymsami. Na parterze okna wysokie i przewiewne, na piętrze takie jak w pociągu - szczelne, ale za to nieotwieralne. Dach kryła zniszczona, połatana papa. W czasie ulewnego deszczu woda spływała po ścianie górnej werandy do pokoju mamy. Tapeta w kwiaty była w tym pokoju odklejona i odstawała. Owa zbieranina skrzyń spoczywała na dwunastu głazach. Między jej dolną częścią a nierównym, wyboistym podłożem powstała w ten sposób mniej więcej siedemdziesięciocentymetrowa przestrzeń. Poniewierały się tam siwe, omszone drwa, stare wiklinowe krzesła, trzy zardzewiałe garnki o niezwykłych kształtach, kilka worków cementu, łysy opony samochodowe, blaszana wanna ze zdezelowanymi sprzętami kuchennymi, sterty związanych drutem gazet. Zawsze się tam wyszperało coś ciekawego. Włazenie pod dom było wprawdzie zabronione, matka obawiała się chyba, że się pokaleczymy zardzewiałymi gwoździami albo, że zwali się na nas cały ten kram, ale...

Przybytek, czy jak to nazwać, zbudował pastor zielonoświątkowców, Frithiof Dahlberg. Chciał zapewne przebywać jak najbliżej swojego Boga i Pana. Dlatego obrał sobie miejsce górujące nad Dufnas.

Kupił taras pod skałą i oczyścił grunt. Najprawdopodobniej pastor Dahlberg myślał, że Pan, doceniwszy jego zamiar, ześle nań i jego synów wiedzę o sztuce stawiania domów, której im nie dostawało. Czekając na inspirację, wzięli się do pracy. Po pięciu latach najróżniejszych przeciwności losu, w czerwcu 1902 roku, dzieło pastora było gotowe. Podziwiając przybytek członkowie zboru doszukali się w nim pewnych podobieństw do arki Noego. Noe też nie był cieślą, tylko - dokładnie rzecz ujmując - odrobinę zapijaczonym szyprem barki kursującej po Eufracie, a dzięki wiedzy jaką dał mu Pan, zbudował pojemną łódź, zdolną przetrzymać znacznie dotkliwsze ciosy niż te, na które mogła być narażona skromna siedziba pastora Dahlberga.

Niektórzy wierni uważali, że górna południowa weranda ze szczodrym widokiem na dolinę, rzekę i wrzosowiska jest odpowiednim miejscem na oczekiwanie sądu ostatecznego, kiedy to nad granie opodal Gangbro i Basny przyszybuja anioły Apokalipsy.

Tuż poniżej siedziby głównej niezmordowany pastor wznosił rzadkiej urody szeregowiec. Składał się on z siedmiu cel, przykrytych jednym dachem. Do każdej prowadziły nieszczęsne zielone drzwi. Przypuszczalnie przemieszkowali tutaj goście, kilka dni, a może tygodni, by wspólną modlitwą i pieśniami umocnić się w swej i tak już niezachwianej wierze. Szeregowiec, niekonserwowany i nieremontowany, mocno podupadł i służył obecnie za siedlisko flory i fauny. Podłogę bujnie zaległa trawa, z okna wychylała się brzoza. Lewe skrzydło objął w posiadanie troskliwy borsuk Einar z rodziną, w innych celach grasowały leśne myszy. Na jakiś czas pokoiak z brzozą przywłaszczyła sobie sowa, ale się niestety stamtąd wyprowadziła. W najobszerniejszym pomieszczeniu harcowały półdzika ruda kocica o złośliwym pysku i sześcioro potomstwa. Tylko matka nie bała się zbliżyć do tej bestii. Miała szczęśliwą rękę do kwiatów i zwierząt i broniła naszej menażerii przed wszelkimi zakusami Maj i Lalli, które zajmowały dwie środkowe cele. Lalla prowadziła kuchnię, a Maj była dziewczyną do wszystkiego po trochu. Więcej o nich potem.

Całości dopełniał przesadnie duży, walący się wychodek, którego surowe, niemalowane ściany pyszniły się na skraju lasu. Było w nim miejsce dla czterech osób; z nieoszlonego okienka w drzwiach roztaczał się wspaniały widok na Dufnas, na skrawek zakola rzeki i na kolejowy most. Otwory różniły się wielkością: mały, mniejszy, malusieńki i tyciuteńki. W tylnej ścianie, na dole, znajdowała się niewielka kłapa, teraz rozchwiejutana i nie do zamknięcia. Ilekroć Maj i Linnea wpadały do wychodka na krótką pogawędkę i małe siusiu, pobierałem z bratem najwcześniejsze nauki z kobiecej anatomii. Patrzyliśmy i zdumiewaliśmy się. Nikt ani pomyślał o łapaniu nas na gorącym uczynku. Nigdy nie przyszło nam do głowy studiować od dołu ojca, matkę czy opasłą ciotkę Emmę. Nawet w pokoju dzieciennym obowiązuje niepisane tabu.

Umeblowanie przybytku było heterogeniczne. Pierwszego lata matka załadowała cały wagon sprzętami nie od pary, pochodzącymi z plebanii w mieście. Babcia dorzuciła to i owo ze strychu i piwnicy w Varoms. Matka dumiała i planowała, uszyła zasłonki, utkała dywan i okiełznała tę cudaczną zbieraninę najróżniejszych, wzajem sobie nienawistnych elementów, tworząc harmonijną całość. Pokoje, tak jak je pamiętam, tchnęły przytulnością. Właściwie w tym osobliwym dziele pastora Dahlberga czuliśmy się lepiej niż w wielkopańskim, wysmakowanym Varoms babci, położonym kwadrans drogi piechotą przez las.

Wspomniałem na początku, że wuj Carl dosyć krytycznie oceniał "tę melinę, która nie jest domem". Babcia też nie była zachwycona, ale z innych powodów. Maminą decyzję wynajęcia majstersztyku Dahlberga uważała za cichy, acz oczywisty bunt. Latem przywykła do obecności dzieci. Dlatego tolerowała odwiedziny zięciów i synowych. Tego lata urzędowała w Varoms z wujem Carlem, który z różnych przyczyn, zwłaszcza finansowych, nie mógł się nijak temu przeciwstawić. Wujowie Nils, Folke i Ernst wyjechali z rodzinami do zagranicznych kurortów. Tak więc babcia została z wujem Carlem i dwiema podstarzałymi służącymi, Siri i Alną, które niechętnie ze sobą rozmawiały, mimo że pracowały razem przeszło trzydzieści lat. Lalla, też z babcinego sztabu, nieoczekiwanie doszła do wniosku, że mama potrzebuje wszelkiej możliwej pomocy, i na początku czerwca przeniosła się do Dufnas, gdzie w prymitywnych warunkach wyczarowywała przepyszne klopsiki i niezrównane pieczone szczupaki. Lalla znała mamę od jej młodzieńczych lat i była wobec niej niezłomnie lojalna, owa lojalność budziła jednak strach. Matka właściwie nikogo się nie bała, ale zdarzały się dni, kiedy nie miała odwagi wejść do kuchni, by spytać Lallę, co upichci na obiad.

Podwórko było okrągłe i wyżwirowane, pośrodku widniała kolista plama trawy ze szczątkami przerdzewiałego zegara słonecznego. Przed kuchnią panoszyła się imponująca plantacja rabarbaru, a wszystko razem opasywała nieco zmierzwiona, jeszcze nie ścięta łąka, której jakieś sto metrów dalej kładły kres nadwątlony płot i ściana lasu. Las, gęsty i zaniedbany, podpełzał stromym zboczem pod skałę, urwisko pochylało się trochę, co podczas burzy mściło się echem. Szaro-różowa góra kryła w sobie głęboką grootę, możliwą do zdobycia po śmiertelnie niebezpiecznej wspinaczce. Nie wolno się było do niej zbliżyć, dlatego nęciła. Górę okalał płytki kamienisty potok; wijąc się wzdłuż naszego płotu, nikał gdzieś pod polami, by na północ od Solbacki połączyć się z rzeką. Latem prawie całkowicie wysychał, wiosną rwał, zimą szemrał mrocznie i niespokojnie pod cienkimi powłokami szarego lodu, a w porze jesiennych deszczów śpiewał wysoko, niejednostajnie. Woda była czysta i zimna. W zakolach tworzyły się głębokie bajorka, raj dla strzebli, czegoś w rodzaju uklei, świetnej przynęty na sznury haczykowe do wędkowania w rzece lub Svartsjon. Na zboczu opodał porośniętej poziomkami ziemnej piwniczki marniał sędziwy sad, wciąż rodzący sercówki i jabłka. Stroma leśna ścieżka prowadziła do Berglundów, właścicieli największego gospodarstwa w Dufnas. Stamtąd braliśmy mleko, jaja, mięso i inne niezbędne wiktuały.

Wąska dolina, urwiste skały, puszcza, rwący potok, pagórkowate pola i głęboko wrzynające się w parów koryto rzeki, posepnej i zwodniczej, wrzosowiska i granie stanowiły krajobraz mało romantyczny, dramatyczny i niepokojący. Natura nie była ani życzliwa, ani zbyt szczodra. Owszem, rosły tam poziomki, konwalie, zimoziół, słodkie leśne dary lata, ale skąpo, rozważnie. Kaskady kolczastych malin, burze ogromnych, ostro pachnących paproci na stokach, miliony pokrzyw, umarłe drzewa, wiatrołomy, głązy porozrzucane przed wiekami przez olbrzymów, trujące bezimienne grzyby o napawających strachem właściwościach. Przez dziewięć letnich miesięcy mieszkaliśmy w dahlbergowym przybytku, który przycupnął pod urwiskiem opodał puszczy, opanowanej stopniowo łąką i malutki trawnik. Gdy z południowego wschodu nadciągała nawałnica i od rozległych wrzosowisk za rzeką gnał wichur, sklecone do kupy czerwone skrzynie trzeszczały, w nieszczelnych oknach gwizdało i zawodziło, a zasłony wydymały się złowieszczo. Jakiś admirator dzieci wmówił im, że sprzyjający podmuch uniesie Dahlbergówkę w powietrze i posadzi ją na skale. Razem z rodziną Bergmanów, z leśnymi myszami i mrówkami. Tylko mieszkańcy szeregowca, borsuk Einar, Lalla, Marta i Maj mieli wyjść z tego cało. Nigdy do końca w to nie wierzyłem, ale kiedy zrywała się straszliwa wichura, skwapliwie wskakiwałem do łóżka Maj i prosiłem, by czytała mi coś z "Allt for Alla" lub z "Allers Familjejournal".

Już wtedy miałem kłopoty z rzeczywistością. Granice były zamazane i wyznaczeni je dorośli. Widziałem i słyszałem: tak, oczywiście, to jest niebezpieczne, a to bezpieczne. Nie ma żadnych duchów, nie bądź głupi, nie ma upiórów, demonów ani trupów, które w biały dzień pokazują się tu czy tam, rozdziawiając krwawe usta, nie ma trolli ani wiedźm. Tymczasem we wsi, u Andersa-Pera, w chatynce o zabitych gwoździami oknach, żyła w zamknięciu okropna starucha. Zdarzało się, że przy pełni księżyca nocną ciszę przeszywał nagle jej ryk, dobrze słyszalny w całej wiosce. Skoro nie było duchów, dlaczego Maj opowiadała o zegarmistrzu z Borlange, który powiesił się przy leśnej drodze na wzgórzu obok Berglundów? Albo ta dziewczyna, która utopiła się pewnej zimy w Gimmenie i wypłynęła na przedwiośniu przy moście kolejowym z brzuchem pełnym węgorzy? Sam widziałem, jak ją nieśli, miała na sobie czarny płaszcz i jeden zimowy but, drugiego nie było; sterczał tylko nagi piszczel. Straszyla, spotykałem ją w snach, czasem na jawie i wcale nie w ciemnościach. Dlaczego ludzie mówią, że nie ma duchów, dlaczego się śmieją i kręcą głowami, nie, Puniu,

możesz być zupełnie spokojny, duchów nie ma, dlaczego tak mówią, a potem z pasją rozprawiają o czymś, co kogoś o zbyt zaludnionej wyobraźni napawa prawdziwym wstrętem.

Teraz wypadaloby - króciutko - opowiedzieć o Konflikcie. Wtedy, czyli latem 1926 roku, istniał dokładnie od szesnastu lat. Jego źródłem stało się wejście studenta teologii Erika Bergmana do rodziny Akerblomów w charakterze przyszłego małżonka starannie chronionej córki. Pani Annie nie podobał się ten związek i z niemałym samozaparciem postanowiła przedsięwziąć stanowcze kroki. W gruncie rzeczy kandydat na pastora powinien stanowić marzenie niejednej teściowej: ambitny, dobrze wychowany, schludny i dość postawny. W dodatku z perspektywą stabilnej państwowej posady. Pani Anna miała jednak oko. Pod nienaganną powierzchownością dostrzegła coś całkiem innego: chimeryczność, nadwrażliwość, porywczosć, nagły chłód emocjonalny. Poza tym dobrze знаła swoją córkę, jasnego i odrobinę rozpieszczonego beniaminka rodziny. Karin była ogromnie uczuciowa, żywa, bystra, niezwykle wrażliwa i jako się rzekło, rozpieszczona. Pani Anna uważała, że jej dziewczynka potrzebuje mężczyzny dojrzałego, naturalnie uzdolnionego, o twardej, acz troskliwej ręce. Taki właśnie młodzieniec kręcił się już koło rodziny, docent historii religii, Torsten Bohlin. Wszyscy się zgadzali, że Torsten i Karin stanowią idealną parę i rodzice ufnie oczekiwali na deklarację z ich strony. Zresztą Erik Bergman i Karin Akerblom byli dalekimi kuzynami, co dodatkowo czyniło tę kombinację zbyt ryzykowną. W linii Bergmanów kryła się także pewna trudna do zdefiniowania, dziedziczna choroba, atakująca kapryśnie i straszliwie; stopniowo postępujący zanik mięśni nieuchronnie prowadził do ciężkiego inwalidztwa i przedwczesnej śmierci.

Anna Akerblom uznała więc, że Erik Bergman nie jest odpowiednim kandydatem na męża dla jej córki.

Podobnego zdania był Johan Akerblom, ale z innych powodów. Ów stary chorowity człowiek kochał swoją jedynaczkę gorącą oddaną miłością. Każdy konkurent, czy to prawdziwy, czy urojony, wydawał mu się nienawistny. Staruszek pragnął jak najdłużej zatrzymać swój promyczek słońca dla siebie. Karin odwzajemniała ojcowską miłość czułą, choć nieco roztargnioną tkliwością.

Kiedy silna więź emocjonalna dwojga młodych stała się czymś oczywistym, pani Anna przystąpiła do radykalnych, mniej lub bardziej przemyślanych działań. Zainteresowani tą kwestią mogą sięgnąć po szczegółowy dokument zatytułowany "Dobre chęci".

\* Erik Bergman nie bez przyczyny czuł się odepchnięty i źle traktowany. Między nim a przyszłą teściową dochodziło do poważnych zatargów. Marcin Luter gdzieś powiedział, że trzeba ostrożnie dobierać słowa, "ponieważ tych, które wyfruną, nie sposób pochwycić za skrzydła". Domyślam się, że w pierwszych latach padło ich wiele. Erik Bergman, drażliwy, nieufny i pamiętliwy, o wymaginowanej lub rzeczywistej krzywdzie nigdy nie zapomniał i nigdy jej nie wybaczył.

Karin Akerblom była pod wieloma względami córką swojej matki. Dając wyraz swojej nieugiętej woli, zdecydowała: spędzi życie z Erikiem Bergmanem. W końcu dopięła swego i przyszedł pastor, choć niechętnie, został zaakceptowany.

Od chwili ogłoszenia zaręczyn pogrzebano wszelkie otwarte przejawy konfliktu. Ton stał się wyrozumialszy, życzliwie uprzejmy, czasem nawet serdeczny, dobrze grano swoje role. Nic nie mogło zakłócić rodzinnej wspólnoty.

Nienawiść i gorycz istniały nadal, niewidoczne, uwewnętrznione. Dawały o sobie znać w zdaniach rzucanych mimochodem albo w nagłej ciszy, w ledwie dostrzegalnych reakcjach, w braku uśmiechu lub w uśmiechach wymuszonych. Wszystko to razem, niezwykle wyrafinowane, nie wykraczało poza ściśle wytyczone granice chrześcijańskiej wyrozumiałości.

Jedną z utajonych komplikacji stanowiły wakacje. Jak je zorganizować? Gdzie pastor z rodziną będzie spędzać urlop? Matka w dzieciństwie i młodości nieodmiennie wyjeżdżała do serca Dalarny, do domu swoich rodziców. Uznała za rzecz oczywistą, że jej wybranek tak jak ona polubi Varoms i Dufnas. Erik Bergman podporządkował się temu bez słowa, ponieważ chciał zadowolić swoją młodą małżonkę. Potem przyszły na świat dzieci i dobrze się czuły u babci. Gdy idylla się cementowała, coraz bardziej uwyrażniały się przemilczenia i uprzejmość, cisza i mimowolne słowa.

Z czasem, może zbyt późno, Karin Bergman zdała sobie sprawę, że wszystko zmierza ku katastrofie. Pewnego lata mąż nie przyjechał, wymówił się koniecznością przyjęcia zastępstwa za chorego kolegę. Innym razem Erik Bergman bawił z nimi tylko około tygodnia, resztę czasu strawił na pieszej wycieczce z kilkoma przyjaciółmi. Kiedy indziej nieoczekiwanie zachorował i musiał spędzić urlop w gościnnym Mossebergu, troskliwie pielęgnowany przez dobrodziejkę rodziny, niesamowicie bogatą Annę von Sydow.

Matka zdała sobie zatem sprawę, choć dopiero po jakimś czasie, że trzeba coś zrobić. Wynajęcie przybytku Dahlbergów było kompromisem i cichą prośbą o przebaczenie. Dom, jak wspomniałem, leżał w odległości spacerowej od Varoms. Rodzina Bergmanów miała być rodziną także podczas urlopów ojca. Celebrowanie niedzielnych obiadów w Varoms i nagłe, zazwyczaj niezapowiedziane, wizyty babci w prymitywnym letnisku Bergmanów niosły ze sobą nieuniknione komplikacje.

Matka dokonała niełatwej przeprowadzki z humorem. Nieoczekiwanie przyszła jej z pomocą stara Lalla, która w lecie opuściła swój wygodny pokój za kuchnią w Varoms i zamieszkała u nas, w prymitywnym szeregowcu. Matka, jej ulubienica, zasłużyła sobie na wszelką niezbędną pomoc. Ten dość oczywisty odruch wstrząsnął babcią niemal w równym stopniu, co bunt córki.

Matka doczekała się znikomego uznania za swój wyczyn. Kiedy ojciec zawitał do Dufnas tuż przed moimi ósmymi urodzinami, był niespokojny, roztargniony i przygnębiony.

## II

Stacja kolejowa w Dufnas składa się z czerwonego budynku o białych węglach, wychodka z napisem "Mężczyźni i Kobiety", dwóch semaforów, dwóch torów przetokowych, magazynu towarowego, wybrukowanego peronu i ziemnej piwnicy. Zawiadowca Ericsson mieszka na pięterku czerwonego budynku z chorą na tarczycę żoną. Pu właśnie skończył osiem lat i mama z babcią puściły go na stację samego. Ericssona nikt nie spytał o zdanie, traktuje jednak swojego młodego gościa z roztargnioną uprzejmością. Jego biuro przesiąknięte jest

fajkowym dymem, linoleum zalatuje stęchlizną. Na szybach brzęczą senne muchy, od czasu do czasu terkoce telegraf, wypluwa papierową tasiemkę poznaczoną kropkami i kreskami. Ericsson pochyla się nad dużym biurkiem i coś pisze w podłużnej książce z czarnymi okładkami. Potem sortuje listy przewozowe. Od czasu do czasu ktoś puka w okienko w poczekalni i kupuje bilet do Repbacken, Insjon, Larsbody lub Gustavs. Cisza jest jak wieczność i z pewnością równie dostojna.

Pu wchodzi nie zapowiedziany. Mały, uderzająco szczupły, wręcz chudy, bardzo krótko obcięty ("na pieczarkę"), strupy na prawym kolanie. Ponieważ jest koniec lipca, w to sobotnie popołudnie ma na sobie zniszczone sandały, spraną koszulę z obciętymi rękawami i spodni, spod których wystają kalessony. Przytrzymuje je skautowski pas, na pasie wisi finka. Trudno się zorientować, o czym Pu myśli. Jego spojrzenie jest nieco senne, policzki dziecięco okrągłe, wpółotwarte usta, prawdopodobnie polipy.

Wita się układnie: dzień dobry, wujku Ericsson. Wujek Ericsson zerka w swoją czarną książkę i szybko podnosi wzrok, fajka skwiercząc wypuszcza mały obłoczek: dzień dobry, paniczu Bergman.

Pu wdrapuje się na wysoki trójnożny stół przy telegrafie

- Ojciec przyjeżdża pociągiem o trzeciej.
- Ach, tak.
- Powitam go. Mama i Maj przyjdą później. Maj na pewno odbierze przesyłkę towarową.
- Aha.
- Ojciec był w Sztokholmie i wygłaszał kazanie dla króla i królowej.
- Szykownie.
- A potem został zaproszony na obiad.
- Przez króla?
- Tak, przez króla. Ojciec jest starym przyjacielem króla i królowej. Zwłaszcza królowej. Udziela jej dobrych rad i tak dalej.
- To dobrze.
- Król i królowa nie poradziliby sobie bez ojca.

Następuje długa pauza. Wujek Ericsson zapala gasnącą fajkę. Mucha dogorywa w spiekocie okna. Tłusty dropiaty kot przeciąga się, prostuje przednie łapy, mruży. Potem robi kilka chwiejnych kroków po zagraconym stole, pod oknem i wali się na "Szwedzkie połączenia komunikacyjne". Pu mruży oczy. Nad torami i roslymi brzozami wisi białe palące słońce. Z tyłu, na ślepy torze, śpi mała lokomotywa przetokowa, do której przyczepiono kilka wagonów z drewnem.

- Myślę, że królowa kocha się w moim ojcu.

- Aha, no, proszę.

Nie robi to na wujku Ericssonie szczególnego wrażenia, jest zajęty listami przewozowymi, coś się nie zgadza, liczy je raz po raz i układa w dwóch kupkach: piętnaście, szesnaście, siedemnaście, osiemnaście. Ktoś puka w okienko w poczekalni. Wujek Ericsson zostawia fajkę w popielnicy, wstaje i otwiera przeszklone okienko kasy. Dzień dobry, dzień dobry. O, dzisiaj aż do Rattviku? Aha, a jutro do Orsy? Tak, tak. Dwa siedemdziesiąt pięć. Dziękuję. Proszę.

Słonecznie białym piaszczystym poboczem nadchodzą niespiesznie mama, Maj i brat Dag. Mama jest w jasnej letniej sukience z szerokim paskiem podkreślającym jej wąską talię, i w żółtym kapeluszu z dużym rondem. Jak zwykle piękna, bodaj najpiękniejsza na świecie, urodziwsza od Marii dziewczicy i Lilian Gish. Maj ma na sobie krótką spraną sukienkę w niebieską kratkę, czarne pończochy i czarne zakurzone buciki z cholewkami. Dag, cztery lata starszy od Pu, włożył mniej więcej to samo co brat, tyle, że kalessony nie wystają mu spod spodenek. Mama wygląda na lekko poirytowaną, coś mówi do Daga, marszczy czoło i uśmiecha się. Dag kręci głową, rozgląda się, spostrzega Pu za oknem i wskazuje na niego. Ach, tak, oczywiście tu jesteś, mówi odrobinę rozniewana mama, ale to jest jak w kinie, trzeba się domyślać, co kto powiedział. Daje mu znak, żeby natychmiast wyszedł. Do widzenia, wujku Ericsson.

W tym momencie dzwoni ścienny telefon. Dwa krótkie sygnały. Zawiadowca chwyta słuchawkę. Halo, Dufnas. Ktoś mówi: Z Lannhedenu trzecia pięćdziesiąt dwie. Wujek Ericsson wkłada służbową marynarkę i czapkę z czerwoną kokardką, z niebieskiego stojaka przy drzwiach wyjmuje chorągiewkę i wychodzi na schody. Tuż za nim sunie Pu. Podchodzą do semafora, który po chwili podnosi swoje pasiaste, biało-czerwone ramię. Teraz pociąg może wjechać. Wujek Ericsson salutuje mamie i Maj, potem maszeruje do jakiegoś wozaka. Zamieniają kilka słów i pokazują na magazyn towarowy.

Pu pilnuje semafora. Mama go woła, ale kiedy on nie słyszy albo udaje, że nie słyszy, kiwa tylko głową i odwraca się do Maj.

Ostre słońce przypieka magazyn, budynek stacji, tory, peron. Pachnie dziegiem i rozgrzanym żelazem. Przy wiadukcie szmerze rzeka, nad poplamionymi ropą podkładami drga rozgrzane powietrze, kamienie wysyłają błyski. Cisza. Oczekiwanie. Tłusty kot usadowił się na dreźnie. Parowozik przetokowy lekko wzdycha. Pomocnik maszynisty Oscar rozpalił pod kotłem. Nagle zza zakrętu przy Langsjon wyłania się pociąg, niemy kleks w bujnej zieleni rośnie, po chwili słychać go coraz wyraźniej, potężna dwuczłonowa lokomotywa z ośmioma wagonami już jest na moście, dudnią zwrotnice, huk ogromnieje i serce Pu dygoce.

Lokomotywa syczy i dyszy, spod tłoków bucha para, ziemia drży, oto i wagony, długie, eleganckie sztokholmskie wagony, krzyczą hamulce. Wujek Ericsson salutuje maszyniście. Pu stoi skamieniały. Zawiadowca macha czerwoną chorągiewką. Zgrzyt, łoskot, wszystko się w jakiś niewytłumaczalny sposób zatrzymuje i nieruchomieje, tylko lokomotywa stęka. I stęka. Chodź tu, Pu, niecierpliwi się matka. Lepiej jej posłuchać, kiedy odzywa się takim tonem.

Ojciec wysiada na peron, jest dość daleko, ale już się zbliża szybkimi dużymi krokami. Ma gołą głowę, cienkie włosy unoszą się lekko. Płaszcz przerzucił przez ramię, w prawej dłoni trzyma kapelusz, w lewej niesie czarną zniszczoną teczkę, pękata od książek i tego co najniezbędniejsze. Nie znosi podróży z tobołami, woli lekki bagaż podręczny. Matka i ojciec całują się w policzek, żółty kapelusz matki przekrzywia się, uśmiechają się do siebie, teraz kolej na Daga, wyciąga dłoń na powitanie, ojciec poklepuje go po karku, chyba zbyt mocno i nie najczulej. Pu rozpędza się i z radosnym śmiechem rzuca się w ojcowe ramiona. Ojciec momentalnie się rozpromienia, podnosi syna i przytula go. Matka zajęła się kapeluszem i płaszczem, Maj, dygnawszy nieśmiało, uwalnia pastora od wypchanej teczki. Ojciec pachnie wodą po goleniu i cygaretkami, jego policzek trochę drapie. Daj mi buziaka, mówi ojciec, i Pu wyciska siarczystego całusa na ojcowym uchu.

Wujek Ericsson daje znak do odjazdu. Lokomotywa wyrzuca czarne kłęby dymu, koła buksują, wreszcie łapią przyczepność, trzaskają drzwi i drzwiczki. Podnosi się ramię semafora i pociąg coraz zwawiej toczy się ku wiaduktowi. Na zakręcie przy Varoms lokomotywa gwizdże, po czym znika w lesie.

- Czy musimy wracać do domu? - niepewnie pyta Dag władzę rodzicielską.

Nie, ale skąd mówi mama i uśmiecha się pospiesznie, pytanie Daga jest bowiem mało stosowne. Nie, proszę bardzo. Tylko nie spóźnijcie się na obiad. Masz przecież zegarek, krótko ucina ojciec. Popsuł się, przyznaje Dag, ale mogę spytać o godzinę. Kuźnia leży kilkaset metrów na północ od stacji. To wysoki, ale wąski, źle zbudowany czerwony drewniany dom. Kuźnia mieści się na parterze, na piętrze, w dwóch pokojach z obszerną kuchnią mieszkają kowal Kowal, jego żona Helga i pięcioro dzieci w różnym wieku i wydaniu. Jonte jest rówieśnikiem Pu, a Matsen Daga. Wszystko, co otacza rodzinę Kowali, jest brudne, obskurne i ubogie, ale, o ile pamiętam, humoru tam nie brak. Dlatego ciągnie nas na podwórko przy kuźni. Kowal Kowal wygląda jak kirgizki wódz, postawny i śniady, jego rośnięta żona nosi ślady dawnej urody. Nie ma zbyt wielu zębów, często się jednak śmieje, zasłaniając usta dużą dłonią. Cała rodzina jest czarna jak noc, przynajmniej jeśli chodzi o włosy i oczy. Najmłodsza pociecha ma cztery miesiące i nazywa się Desideria. Ma zajęczą wargę.

Kiedy Dagowi i Pu udaje się odłączyć od komitetu powitalnego, ruszają pospiesznie na kategorycznie im zabroniony plac zabaw za kuźnią. Matka uważa, że nie powinni się zadawać z dziećmi Kowala. Babcia jest innego zdania, dlatego mogą się spotykać. Kategoryczny zakaz dotyczy tylko jednego miejsca, do którego nie wolno im się zbliżać. Oczka. Oczko to zbiornik wodny w okrągłym zagłębieniu pagórkowatych błoni, ciągnących się od stromych leśnych zboczy po rzekę i parowy. Wiosną ma głębokość przeszło dwóch metrów, latem jest znacznie płytsze. W mętnej wodzie roi się od kijanek i uklei, tu i ówdzie przemknie spasiona płotka.

Właśnie tego popołudnia odbywa się bitwa morska. Dwie pokaźne skrzynie, nieźle uszczelnione i wysmarowane dziegciem, z wymalowanymi na prowizorycznych dziobach trupimi czaszkami to statek piracki i korsarz królowej Elżbiety. Brat Pu, Dag, reżyseruje ową grę wojenną, a jednocześnie nią kieruje. Przydzielił sobie rolę herszta piratów. Matsen jest generałem Archibaldem. Generał i pirat sami prowadzą swoje jednostki. Na dany znak ruszają każdy ze swojego brzegu i machają domowej roboty wiosłami, płyną co siłą ku sobie. Zderzenie jak się patrzy! Potem wojownicy popychają się i szturchają wiosłami. Walka powinna trwać pięć minut; czuwa nad tym starsza siostra Matsena Inga-Britta, zaopatrzona w



budzik rodziny Kowali. Ten, kto wleci do wody, przegrywa. Jeśli statek się wywróci, porażkę uznaje się za sromotną.

Bengt, Sten i Arne Frykholmowie z Missionsvillan trzymają stronę Daga. Wiecznie zasmarkani i kaszlący chłopcy Tornqvistów dopingują Matsena. Mimo zapiekłej wrogości rodzinna solidarność wymaga, żeby Pu kibicował bratu. Walka, czego można się było spodziewać, jest zazarta i po minucie rytuał pojedynku zamienia się w chaotyczną nawalankę. Dag, straszliwie zawzięty, zwykł się tłuc o byle co. Kilka minut później przewraca statek Matsena, wyskakuje ze swojego i rywale, zanurzeni po pierś w gliniastej wodzie, grzmocą się na śmierć i życie, ostro zagrzewani do boju przez swoich zwolenników. Kiedy walka kompletnie dziczeje, otwiera się okno na piętrze i Helga Kowal woła do nich, że jeśli mają ochotę na sok i ciastka, muszą natychmiast przyjść do domu. Publiczność czym prędzej opuszcza walczących, którzy wobec braku zainteresowania zaprzestają bójki i wychodzą na ląd. Zdejmują mokre łachy, zostają tylko w kalesonach. Dagowi nie grozi więc wpadka, a Pu nie starczy odwagi, żeby go wsypać.

W kuchni Kowali jest tłoczno. Muszą się podzielić dwiema szklankami i czterema poobtłukiwanymi porcelanowymi filiżankami. Goście mają pierwszeństwo. Ciasteczka są jeszcze ciepłe. Rozlega się ciche, dyskretne siorbanie. Słońce strzela promieniami w brudne okno, kurz połyskuje, upał nie do wytrzymania, dławiące zapachy. Pani Helga daje piersi najmłodszej pociesze, siedzi na łóżku w pokoju sąsiadującym z kuchnią. Podciąga poplamioną ciemnoczerwoną bluzkę i Desideria cmokta łapczywie. Po posiłku i beknięciu wolno jej leżeć na łóżku. Potem Helga prosi do siebie swojego kolegę, Jonte. Chodź, Jonte, teraz ty. Całkiem możliwe, że Jonte się wstydzi, nie pamiętam, ale nie sędzę. W każdym razie podchodzi do matki i staje między jej kolanami. Helga podnosi ciężką pierś i Jonte pije chciwie. (Chorował na gruźlicę i całą zimę przeleżał w sanatorium). Nasycony, wyciera usta wierzchem dłoni i wcina żytnią bułeczkę z melasą. Helga już ma obciągnąć bluzkę i wstać, gdy Pu pyta głośno, czy i on mógłby skosztować. Wszyscy parszczą śmiechem, w gorącej brudnej kuchni niesie się gromki rechot. Kobieta też się śmieje i kiwa głową. Proszę bardzo, Pu, nie mam nic przeciwko temu. Ale przedtem spytaj babcię albo mamę. Znowu wybuch śmiechu i Pu jest zażenowany, najpierw czerwienieją mu odstające uszy, potem policzki i czoło, wreszcie pojawiają się łzy, których nie jest w stanie powstrzymać. Helga Kowal poklepuje go swą twardą dłonią, proponuje drugą bułeczkę, posmaruje ją dla niego melasą, ale Pu nie chce żadnej bułeczki, ta obcesowa uprzejmość miesza go jeszcze bardziej, łzy skapują z nosa w kąciuki ust: Kurwa jebana mać, kurwa mać. Wszyscy po raz trzeci wybuchają śmiechem. Pu jest właściwie dziewczyną, to widać jak na dłoni, szydzi Dag. Pu ciska filiżankę soku w twarz brata i potykając się, wściekły schodzi po stromych schodach do kuźni.

Przy okopconym sadzą oknie Maj rozmawia z kowalem. Przyniosła rondel do lutowania. Na kowalskim palenisku płonie węgiel. Czarne koła, dźwignie, ośki, pod oknem, pod dłuższą ścianą, dziobata ława. Na oślizłej zbutwiałej podłodze łaty z desek i płaskich kamieni. Zalatuje palonym węglem, gorącą

ropą i sadzą. Kowal też rozsiewa jakiś zapach. W każdym razie nie pachnie źle, Maj najwyraźniej się podoba. Śmieje się z czegoś, co mówi kowal, odsuwa się nieco, ale w jej reakcji nie ma nic nieuprzejmego.

Maj zwraca swą piegowatą, opaloną twarz ku Pu i z głupkowatym uśmiezkiem oznajmia, że jeśli nie chcą się spóźnić na obiad, muszą się pospieszyć. Odgarnia z czoła kosmyk włosów.

Kowal kiwa Pu głową i szczerzy zęby; są białe, jak nowe. Przed kuźnią czeka z roslym koniem do podkucia wysoki chudzielec. Krótkie pożegnanie i rower Maj. Pu przywiera do tylnego bagażnika i kurczowo ściska sprężyny siodełka. Tuż przed jego oczami i nosem wierci się tyłek Maj. Maj pachną uda, talia i plecy. Pu kocha Maj prawie tak mocno, jak kocha matkę, czasem nawet mocniej, choć inaczej.

Przy poczcie żwirowa droga na krótkim odcinku stromo pnie się w górę. Maj pedałuje przez chwilę, w końcu się poddaje i idą obok siebie, pchając rower. Beczałeś, mówi Maj. Nie patrzy na Pu. Nie, wcale nie beczałem, tylko się cholernie wkurzyłem, natychmiast odpowiada Pu. Kiedy jestem zły, wyglądam tak, jakbym beczał, ale ja nie beczę. Czy to przez Dagge, wypytuje Maj. Pu zastanawia się i mówi zupełnie poważnie: Któregoś dnia zadżgam go nożem. Pu wciąga smarki, niemal się uspokoił. Nie będziesz się z bratem nożował, chichoce Maj. Bo wylądowałbyś w poprawczaku. Nie śmiej się. Pu zgrzyta zębami i odpycha Maj. Przestań się szturchać, gówniarzu, życzliwie mówi Maj i dodaje: no dobrze już, dobrze, nie będę się śmiać, obiecuję. Ale zapamiętaj sobie, że ludzie potrafią się śmiać ze wszystkiego i bez powodu. Tobie też by to nie zaszkodziło.

Punktualnie o piątej wszyscy domownicy stają przy swoich krzesłach wokół stołu w jadalnym. Splatają dłonie, odmawiają chórem: W imię Jezusa do stołu siadamy, pobłogosław jedzenie, które spożyć mamy, i hałaśliwie się sadowią. Oto oni, razem dziesięć osób: naprzeciw siebie matka i ojciec, na prawo od ojca ciotka Emma, która nie jest żadną ciotką, tylko stryjenką ojca, porzuconym nękanym nadwagą dinozaurem z jego rodziny. ("Ciotka" było wówczas dość prowincjonalną formą zwracania się do starszych krewnych płci żeńskiej bez przydziału. Emma najczęściej mieszkała w Gavle, gdzie zajmowała dwunastopokojowy apartament. Żarłok i straszliwe skąpiradło, w dodatku mało sympatyczne, dosyć cięte i mocne w gębie. Składanie wizyt latem i podczas świąt Bożego Narodzenia uważała za swój chrześcijański obowiązek. Dzieci traktowała z szorstką czułością, czytała im bajki, grała z nimi w chińczyka. Pu był pupilem ciotki Emmy, chętnie składała deklaracje, że kiedyś on właśnie odziedziczy jej majątek. Pu uśmiechał się przymilnie, jak na przymilne dziecko przystało.)

Na lewo od ojca siedzi Lalla, jak na szpilkach, ponieważ bardzo jest niezadowolona z demokratycznych pomysłów mamy, która zdecydowała, że państwo i służba mają jadać wspólnie. (Lalla zawsze była taka sama. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek wyglądała inaczej lub jakoś szczególnie. Niska, żyłasta, żwawa osóbką o mądrej twarzy, sarkastycznym uśmiechu, szerokim czole, siwych włosach z przedziałkiem pośrodku, głębokim niebieskim spojrzeniu. Lalla niepodzielnie panowała w kuchni. Choć pamiętała matkę jako dziecko i młodą dziewczynę, uparcie mówiła do niej "pani Bergman".)

Obok Lalli siedzi Maj. Czuwa nad Małą, która skończyła cztery lata i przesiadła się z dziecięcego krzeselka na twarde, dorosłe. (Mała była pulchniutką, miłą osóbką. Pu chętnie bawił się z siostrą, kiedy nikt go nie widział. W obecności Dagge nazywał ją Słoniną. Ponieważ Dag tłukł Pu za byle drobiazg, Pu za byle drobiazg tłukł Małą. Mała siadała na swojej tłusciutkiej pupie i patrzyła na brata ze zdumieniem, a jej duże niebieskie oczy wypełniały się łzami. Rzadko jednak chodziła na skargę. Pu wołał bawić się z siostrą lalkami, które miały własny zmyślny domek, niż zadawać się z bratem, najczęściej pochłoniętym ołowianymi żołnierzami.)

Po drugiej stronie Małej urzędowała Marianne, ciemnowłosa piękność, o szerokich biodrach i wydatnym biuście. (Ojciec i matka przyjaźnili się z rodzicami Marianne, którzy zginęli w

katastrofie pociągu. Marianne, konfirmantka ojca, często bywała na plebanii. Tego lata miała uczyć Daga niemieckiego i matematyki. Dag nie protestował, ponieważ się w swojej urodzivej nauczycielce podkochiwał. Pu też się w niej durzył, ale na odległość. Zdawał sobie sprawę z własnej niedoskonałości. Bratu jednak zazdrościł i droczył się z nim, ilekroć ten zbyt jawnie okazywał swe uczucia. Marianne chciała zostać śpiewaczką operową, natura obdarzyła ją ładnym altem.)

Obok matki, po jej lewej stronie, siedzą Dag i Pu, a obok Pu siedzi Marta. (Marta Johansson, wysoka, szczupła, w nieokreślonym wieku, lekko przygarbiona i chodząca jak kaczka, miała wykształcenie pedagogiczne i mogła uczyć w niższych klasach szkoły podstawowej. Zbyt jednak była chorowita: słabe serce, jedno płuco. Dzięki łagodnemu usposobieniu i takiemuż sposobowi bycia ze wszystkimi żyła w przyjaźni. Oprócz Lalli. Lalla jej nie lubiła. Któregoś wieczoru zapomniała wyłączyć na plebanii piec gazowy i doszło do małej eksplozji. Według Lalli byłoby najlepiej, gdyby ta "nieszczęsna osoba" umarła. Ilekroć matka i ojciec wychodzili z domu, Marta przejmowała ster i kierowała wszystkim z dobroduszną stanowczością. Tego lata była bardzo słaba, przyjechała nabrać sił i wypocząć. Pu wyobrażał sobie, że anioły wyglądają tak jak Marta. Kilka lat później umarła i z całą pewnością została aniołem.)

W soboty zwykle podaje się na obiad te same potrawy, rzadko czyni się w tej mierze odstępstwa. Klopsiki, gotowany w białym sosie makaron i borówki. Na deser kisiel rabarbarowy, truskawkowy lub agrestowy. Przystawka jest zawsze stała: marynowany śledź i młode ziemniaki. Do tego pastor wypija kieliszek wódki i szklaneczkę pilznera. Reszta rodziny poprzestaje na cieniutkim piwie albo na lemoniadzie.

Obszerny, jasny pokój jadalny, który służy także za salon, sąsiaduje z długą przeszkloną werandą. Do stołu podaje Maj, w razie potrzeby pomaga jej Marianne. Marta ma na siebie uważać, a Lalla musi siedzieć spokojnie i pozwalać się obsługiwać, czego nie lubi.

Teraz na stół wjeżdżają kartofle, półmisek krąży, ojciec nalewa wódkę, ciotka Emma też wypije kropelkę do dwóch dzwonek śledzia i różowego, ciemnoskórego ziemniaka. Wejdz, proszę, do obrazka, stań przy drzwiach na werandę albo usiądź na sfałdowanej kanapie pod ściennym zegarem: najpierw mówimy jeden przez drugiego, zachowując jednak dobre maniere i popisując się oglądą. Nie za głośno. Chodzi naturalnie o pogodę: pogodę w Sztokholmie i pogodę w Dufnas, ach ten nieoczekiwany upał, ciotka Emma czuje w kolanie, że zanoszą się na burzę, a po chwili tonem wybrednej smakoszki wychwala klopsiki. Są pyszne. Lalla cieszy się, że pannie Eneroth smakowały. Ale mówi to z kwaśnym uśmiechem. Lalla nie jest wrażliwa ani na pochwały, ani na nagany, zwłaszcza gdy je wygłasza panna Eneroth.

Jedynym, który czasem przemawia Lalli do rozsądku na przekór jej smalandzkiej wyniosłości, jest pastor. To sobie ceni, tak być powinno. Delikatne napomnienie krzepi duszę. Matka mówi, że na polach susza i woda w naszym potoku opadła. Szkoda złocieni i kampanuli. A na to Marianne, z uśmiechem, że znalazła jedno takie miejsce, łączkę przy drodze do Gimmenu. Zatrzesienie kwiatów i poziomek. Byliśmy tam z Dagiem przedwczoraj, nie, we wtorek. Ach, tak, żartobliwie wtrąca ojciec, wycieczka w środku tygodnia? Od sznapsa lekko poczerwieniało mu czoło. Erik też się powinien wybrać. Wspaniała wyprawa. Łąka skryta w lesie, z drogi jej nie widać. Ojciec zgadza się. Tak, byłoby przyjemnie, mówi i uśmiecha się do Marianne. Nieoczekiwanie odzywa się matka: Alma zajrzała do nas przed południem. I Siri, miękim półszepcetem dodaje Marta. Pokazała

mi swoją robótkę, chciałabym zrobić coś podobnego. Teraz, kiedy tak zmarniałam, warto by się czymś zająć. I śmieje się.

Ojciec życzliwie ją pociesza. Marta wygląda o wiele zdrowiej niż kilka tygodni temu, na początku swojego pobytu. Marta lekko kręci głową. W każdym razie Alma uprzedziła, że Ma wpadnie tu dziś wieczorem z wujem Carlem. Ojciec reaguje natychmiast. To miło. Bardzo dobrze, cieszy się Dag, wujek Calle jest mu winien dwie korony. Ja ci je zwrócę rozstrzyga mama.

Ach, tak, przyjdzie Pani Teściowa, przyjdzie Ciocia. Ojcowe czoło jest nadal czerwone. Możemy już podawać kisiel agrestowy. Matka zwraca się do Maj i Marianne. Zrywają się z miejsc i zbierają talerze po klopsikach. Tak, ciągnie matka, Ma przyjdzie, żeby porozmawiać o naszej wspólnej wycieczce do Mangsbodarna i żeby się z tobą przywitać. A Carl dotrzyma jej towarzystwa. Odkąd skrzyła nogę, woli nie chodzić sama po lesie. No to się przekonamy, czy wujek umie strzelać z łuku, wtrąca Dag. Ojciec częstuje się kisielem, wlewa mleko do głębokiego talerza z kwiatowym szlaczkiem. Tak czy inaczej, to dziwne, mówi i kiwa głową. Matka reaguje od razu. Co? - pyta. Dziwne, że Ma zadaje sobie tyle trudu, z Varoms do nas ładny kawałek drogi. Byłoby prościej, gdybyśmy to my, młodzi i żwawi, wybrali się do niej spacerkiem. Matka sili się na uprzejmość: wiesz przecież, jaka jest Ma. Trochę jej teraz nudno, gdy została sama w tym dużym domu.

Czy żaden z synów nie myśli odwiedzić jej tego lata? Nawet Ernst? Nie wiem. Na razie tak to właśnie wygląda. Matka marszczy czoło, jej głos odrobinę tężeje. A co z jutrzejszym obiadem? - dopytuje ojciec. Jak zwykle? Czemu pytasz? Bo, jak wiadomo, jadę do Granas z kazaniem i nie jestem pewien, czy zdążę na piątą. I ojciec spogląda na matkę. Ależ drogi Eriku! Nic nie rozumiem! Chcesz powiedzieć, że droga powrotna z Granas zajmie ci trzy godziny?! To chyba niemożliwe. Owszem, możliwe, odpowiada ojciec lekkim tonem. Całkiem możliwe. Nie mogę się wymigać od udziału w niewielkim przyjęciu po mszy. Proboszcz napisał do mnie, że bardzo się cieszy na to spotkanie. Nie wyruszę z Granas przed drugą, a najwcześniejszy pociąg towarowy z Insjon odchodzi tuż po wpół do czwartej. Musisz więc w moim imieniu niestety przeprosić. Czy Pu jedzie ze mną? Co?! Pu niemiłosiernie rozdziawia usta. Nie słuchał zbyt uważnie, zresztą ilekroć rodzice przybierają ów wyjątkowo ugrzeczniony ton, na ogół się wyłącza, a poza tym w pytaniu czaiło się poważne zagrożenie dla planów matki.

Co? Pytam, Puniu, czy masz ochotę towarzyszyć ojcu do Granas? Nie sądzisz, że może być przyjemnie? (Chwila ciszy). No, chyba dziękujesz. Marianne próbuje zatrzeć przykre wrażenie. Oczywiście, że chętnie pojedzie, dodaje matka, a Dag wyszczerza się w złośliwym uśmiechu. O, tak, na pewno będzie fajowo. Ojciec patrzy na Pu, który zdjęty niemotą, je kisiel agrestowy z mlekiem. Niech Pu nie czuje się do niczego zmuszony. Głos ojca brzmi życzliwie. Jeśli masz w planach coś ciekawszego, nie musisz... nie, mówi

Pu. Matka uśmiecha się, zawsze udaje jej się wszystko załagodzić. No, co, skończyliśmy? Wstajemy. Podnoszą się od stołu, ustawiają za krzesłami i kładą dłonie na oparciach: Dziękujemy ci, Boże, za strawę. Amen. Ukłony i dygania. Potem pocałowanie matki w rękę, "dziękuję za jedzenie" i już wszyscy znoszą ze stołu. Z wyjątkiem ojca i ciotki Emmy, którzy sadowią się na nagrzanym słońcem werandzie pośród pelargonii i balsamin.

Tuż przy twarzy Pu wyrasta głowa Daga. Fajowo, co? Marianne chwyta go za ucho i ciągnie. Zajmij się lepiej swoimi sprawami, bo inaczej przez całą niedzielę będziesz śleczął nad

klasówką z arytmetyki. Żeby przynajmniej raz Dagge trzymał dziób na kłódkę! Pu straszliwie doskwiera powstały problem.

Marianne bierze Pu za ramię i przytula do swoich miękkich piersi. Ojciec by się ucieszył, gdybyś powiedział, że chcesz z nim jechać. Pu kręci głową. Ucieszy się jeszcze bardziej, jeśli ty z nim pojedziesz. Marianne z powagą patrzy na Pu. Nic z tego. Czemu nic z tego? Po prostu nie, mówi Marianne i wypuszcza Pu z objęć.

Nie uciekajcie, woła Maj, pomożecie zmywać. Pu wytrze łyżki i widelce. I Maj porywa Daga. Zaraz, woła Pu, tylko się wysikam. Przemyka za Marianne, pędzi zgarbiony na skraj lasu, chowa się za sercówką, ale nie sika. Obserwuje z daleka przybytek Dahlbergów i jego mieszkańców.

Na werandzie za kwiatami i pnączami mającą sylwetki ciotki Emmy i ojca. Ojciec zapala cygaretkę, ciotka łyka pigułki na zgagę. Przez chwilę w otwartych drzwiach prowadzących na schody pojawia się matka. Trzyma za rękę Małą. Jest tam Pu? Nie oczekuje jednak odpowiedzi. Marta wnosi do jadalnego na tacy szklanki i talerze, mówi coś do matki, co, nie słysząc, a matka jej na to, że Pu nie powinien w tak niemiły sposób okazywać złego humoru. Muszę z nim porozmawiać. Na kuchenne schody ostrożnie wysuwa się Lalla, z wiaderkiem. Trzeba zamykać drzwi, bo zaraz się tu zlecą roje much i komarów! Marianne jest na piętrze, energicznymi ruchami rozczesuje swe grube ciemne włosy i coś śpiewa. Matka idzie z Małą na werandę. Po drodze zabierają zepsutą szmacianą lalę. Maj zmywa, aż furczy, i rozmawia z Martą, ale okno kuchenne jest zamknięte, więc nie słysząc, co mówi. Dag, uzbrojony w ścierkę, wyciera kieliszki i szklanki. Marta siedzi na krześle i wyciera talerze. Na słowa Maj śmieje się, a Maj szturcha Daga biodrem. Marianne zbiega ze schodów. Natyka się na Małą. Podnosi ją i przytula. Ma gołe ramiona. Mała ściska kurczowo swoją starą, rozlatującą się lalkę. Podchodzą do wysokiego rzeźbionego pianina. Marianne siada z Małą na kolanie. Uderzają klawisz za klawiszem: najpierw Mała, potem Marianne. Matka stoi przy żardynierze, twarzą do Pu. Nie widzi go jednak, pochłania ją usuwanie pożółkłych liści z bujnej pelargonii, której drobny czerwony kwiat chyli się ku zakurzonej szybie.

Słońce przeniosło się za dom, zostawiając werandę w niebieskawym cieniu. Szumią drzewa, w leciwych pniach sercówek coś skrzypi i szeleści. Pu nie może się obronić przed nagłym smutkiem. Nie trwa to jednak długo.

Przy rozchwierutanej furtce słysząc teraz konwersację. Babcia i wuj Carl. Głośno sapią po wyczerpującym marszu z Varoms przez las. Pu nadarza się znakomita okazja, żeby uniknąć wycierania naczyń. Pędem goni przez podwórze do furtki. Babcia głaszcze go po policzku, a wuj Carl mocno ściska za kark. Pachnie ponczem. Pu wie, że to poncz, bo matka zawsze wita wuja tym samym zdaniem: Nie rozumiem, dlaczego Calle wiecznie pachnie ponczem. A wuj jej odpowiada: Pewnie dlatego, że wiecznie piję poncz. Wuj Carl ma zadbaną brodę, tłuste miękkie dłonie, duży brzuch, na którym wisi łańcuszek zegarka, biały, lekko poplamiony letni garnitur, sztywny kołnierzyk, krawat i pomięty lniany kapelusz. Zza pince-nez spoglądają duże niebieskie oczy.

Babcia, mimo że jest niskiego wzrostu, wydaje się niemal okazała. Ma sześćdziesiąt dwa lata. Okrągła twarz z przyzwoitym, podwójnym podbródkiem, niebieskoszare badawcze oczy, szczesane z szerokiego czoła białe lśniące włosy. Włożyła czarną, sięgającą kostek suknię z białym kołnierzykiem i koronkowymi mankietami. Przez ramię przerzuciła szarobeżowy płaszcz. Małe pulchne dłonie babci bywają miękkie i twarde.

Coś mi się zdaje, że Pu urósł od wczoraj, naigrawa się wuj Carl. A może tylko nos. I ciągnie Pu za nos. Pu jest zachwycony, uwielbia wujka Carla. Babcia kładzie płaszcz na ramieniu Pu i bierze go za rękę. Przyjdiesz do mnie jutro? Przeczytamy kilka rozdziałów z "Wyspy skarbów". Nie, nie mogę. Nie? Nie. Jadę z ojcem do Granas. Ma wygłosić kazanie w tamtejszym kościele i chce, żebym z nim pojechał. Aha. Ach, tak. To miłe, drwi wuj Carl. Babcia obrzuca go krótkim spojrzeniem i wuj milknie. W następną niedzielę przeczytamy dwa razy tyle! I babcia ścisną dłoń Pu.

Matka wychodzi im na spotkanie, ojciec opuszcza werandę, ciotka Emma pokazuje się w drzwiach jadalnego. Witaj w Dufnas, drogi Eriku! Pięknego i spokojnego urlopu! Dziękuję drogiej cioci! Dziękuję!

Cześć, Calle, napijesz się koniaku? Ojciec klepie wujka Carla po ramionach. Nie ma koniaku, ucina matka. Na podwórku pojawiają się pozostali członkowie rodziny i z różnym nasileniem serdeczności witają się z babcią. Matka zaprasza gości do bzowej altanki. Na kawę i ciasto.

Ja chcę strzelać z łuku, woła Carl. Czy ktoś się odważy stanąć ze mną do walki? Stawiam dwukoronówkę! Z dużej portmonetki wyłuskuje lśniącą monetę i kładzie ją na spękany wspornik słonecznego zegara. Sam nie wiesz, co ryzykujesz! Babcia sadowi się ze śmiechem w niegdyś ładnym fotelu ogrodowym. Ciotka Emma, matka i ojciec dotrzymują jej towarzystwa. Od razu zaczynają rozmawiać o wycieczce do Mangsbodarna, która tradycyjnie ma się odbyć w drugą niedzielę sierpnia.

Lalla siedzi na kuchennych schodkach z robótką i popija kawę, zagryzając cukrem. Marta czyta na hamaku jakąś powieść, a Maj szykuje łóżka na noc. I gwizdże.

Oprócz wujka Carla w zawodach łuczniczych biorą udział Dag, Pu i Marianne. Łuk jest skrzyżowaniem zabawki z bronią, groźna rzecz. Na dużej tarczy strzeleckiej czarny środkowy punkt opasują kolorowe kółka. Tarczę opiera się na drzwiach wychodka i krokami mierzy odległość. Pu zyskuje kilka metrów.

Być może nie wybierzemy się na wycieczkę tego lata. Ojcowy baryton słychać bardzo wyraźnie. Matka coś mu odpowiada, a babcia życzliwie się uśmiecha. Strzały wbijają się w miękką tarczę. Nie, nie wybierzemy się. To znowu ojciec. Marta podnosi wzrok znad powieści, zaraz jednak wraca do lektury. Lalla siorbie, nalewa gorącą kawę na talerzyk i balansuje nim na opuszkach trzech palców. Wuj Carl strzela. Marianne bije brawo. Teraz jej kolej. Dag leży na ziemi i liczy punkty. Wuj zapala cygaro i siada na stołku, który przed laty ktoś zostawił na łące i zapomniał o jego istnieniu. Pu zbiera strzały.

Ogromnie to uprzejmie ze strony Cioci, ale to niczego nie zmienia. W dalszym ciągu słychać tylko ojca, mimo że w dosyć ożywionej konwersacji biorą udział wszyscy. Ogromnie uprzejmie. Ciocia przypuszczalnie myśli, że jesteśmy niewdzięczni, ja jednak... Ty możesz sobie rezygnować, rozbrzmiewa podniesiony głos matki, ale ja zadecyduję... O czym, nie słychać. Mniej więcej godzinę przed zachodem słońca drzewa przenika wiaterek. Na pastwisku Berglundów ryczy krowa, raz po raz szczeka Sudd.

Ze zdumieniem stwierdzam, że nie wspominałem o Suddzie. To brązowy pudel arcyszlachetnego pochodzenia, według rodowodu nazywa się Teddy af Trasselsudd. W dzieciństwie uciekł z matką z cyrku i trafił do Psiarni, punktu zbornego dla zagubionych

miejskich kundli. Ojciec kupił go tam za piąta. Sudd natychmiast stał się członkiem rodziny. Pu bał się go, co pies błyskawicznie wyczuł i gryzł chłopca przy każdej nadarzającej się okazji. Pu nie pozostawał mu dłużny. Śpiącego oblewał wodą albo strzelał mu nad uchem kapiszonami. Teraz Sudd dla porządku szczekał na krowę Berglundów.

Pu ma strzelać, nie starcza mu jednak sił, żeby porządnie naciągnąć luk. Czuje na plecach tłusty brzuch wuja Carla. Zaczekaj, pomogę ci! Pu jest wujem okrażony, owiewa go dym z wujowego cygara, wuj pomaga mu napiąć cięciwę. No? Szepce z cygarem w grubych sinawych wargach. No? Pu dobrze wie, co to "no?" znaczy. Wspólnie trzymają luk, strzała jest osadzona na cięciwie, ale nie celują w tarczę, tylko w altankę. Ostry stalowy grot szuka: ojciec, nie, matka, nie, Pu zamyka oczy, otwiera, znowu zamyka. Wuj oddycha ciężko, chrzęści zbyt ciasna kamizelka, brzuch szemrze. No? Nad Pu zawisa chmura cygarowego dymu. Babcia siedzi profilem, zwrócona ku ciotce Emmie. Mówiąc, stuka palcem wskazującym w rant ogrodowego stołu. Żeby tak raz na zawsze uciszyć tę wiecznie paplającą jadaczkę, szepce wuj Carl.

Matka wstaje. Dolewa babci kawy. Zasłania ją. Nagle strzała wylatuje z przenikliwym świstem i trafia w czarny środek tarczy. Pu wygrał, niech mnie diabli! - wola wuj Carl i łamiąc wszelkie reguły gry, wręcza chłopcu dwukoronówkę, a ten rozdziawia usta ze zdumienia. Zamknij buzię, Pu. Wuj przykrywa mu brodę miękką dłonią Głupio wyglądasz, kiedy się tak gapisz. A głupi chyba nie jesteś, co? A może jesteś?

Na kuchennych schodach pojawia się Maj. Trzyma emaliowaną bańkę na mleko. Na pewno pomieści trzy litry. Czy Pu pójdzie ze mną po mleko? - wola przez podwórze. Tak, Pu chętnie pójdzie. Chowa tylko dwukoronówkę do kieszeni spodni.

Maj puszcza się z boczem w kierunku lasu. Pu truchta obok.

Włożyła niebieską lnianą sukienkę, a rude włosy splotła w warkocz, który sięga talii. Maszeruje z podaną do przodu głową, pogwizduje, zadarty nosek celuje prosto przed siebie. Cała Maj pachnie potem i zielonym mydłem o nazwie "Palmolive". Na moście zatrzymują się. Potok płynie cicho i wartko, wokół przybrzeżnych kamieni utworzyły się mroczne bajorka, w których niespiesznie wiruje woda. W żwirze na dnie kołyszą się wodorosty. Widzisz ryby? - pyta Pu. Cicho! Spłoszyło je nasze tupanie. Poczekajmy trochę w milczeniu. Maj kłęczy, Pu staje obok, na czworakach, i delikatnie przysuwa się do jej biodra. Maj kładzie mu rękę na ramieniu. Nagle wodę przenikają połyskujące ruchliwe cienie. Pod nimi sunie coś ciężkiego i spłaszczonego; to kur rogacz. Od potoku bije przyjemny chłód Maj zanurza dłoń. Ławica pierzcha jednym zgodnym ruchem. Na piaszczystym dnie zostaje tylko kur.

Tutaj powiesił się zegarmistrz. Maj mówi szeptem. Co? Maj patrzy na Pu, mrużąc oczy, i karci go: Ciagle "cokasz", jakbyś był głuchy, a przecież dobrze słyszysz! Gdzie się powiesił? Myślałam, że wiesz! Tam, za tymi zrosniętymi sosnami, w zaroślach. Tak, powiesił się. Wszyscy mówili, że z powodu zawiedzionej miłości, ale to nieprawda. No to czemu się powiesił? Dokładnie nie wiem. Spytaj Lallę. Ona zna całą tę historię. Czy on straszy? Pu przeszywa chłodny dreszcz. Albo od potoku, albo dlatego, że jest tak blisko miejsca tego strasznego czynu; trudno powiedzieć. Czy straszy? Tak, podobno buszuje w zaroślach. Są tu zresztą tłuste żmije, więc lepiej uważaj.

Duchy i zmije, mruczy Pu. Ja tam nigdy czegoś podobnego nie widziałam. Ale ja nigdy takich rzeczy nie widzę. Żeby zobaczyć duchy, upiory i krasnoludki, trzeba mieć w sobie coś szczególnego. Moja babka jest jasnovidząca, a ja nie. Ani trochę. A ja jestem, bo urodziłem się w niedzielę. Jesteś niedzielnym dzieckiem? Nie wiedziałam. Tak, urodziłem się czternastego lipca tysiąc dziewięćset osiemnastego o trzeciej w nocy. Maj powątpiewa. I co widziałeś? O, niejedno. Pu robi się ważny. Musisz kiedyś opowiedzieć. To bardzo ciekawe. Maj ochlapuje mu twarz wodą i śmieje się: Strugasz ważniaka.

Maj wstaje i rusza kamienistą krętą leśną ścieżką. Pu truchta za nią.

- Jeśli chcesz, mogę cię straszyć po śmierci.

- A po co?

- Opowiedziałbym ci, jak tam jest.

- Gdzie?

- No, po drugiej stronie.

- Dziękuję bardzo. Ale nie mam ochoty.

- Zjawiłbym się bardzo spokojnie. I w biały dzień.

- Co to za głupoty, Pu?

- Obiecuję.

- Jak człowiek martwy, to martwy.

- A zegarmistrz?

- E tam, to tylko takie tam zabawne historie.

Kilka lat później Maj utopiła się. Zaszła w ciążę i ojciec dziecka nie chciał jej znać. Pewnego zimowego dnia wypłynęła przy zakolu rzeki z dużą raną na czole. Czasem myślę o niej i o naszej rozmowie na moście nad potokiem. Nigdy nie straszyla. Zresztą niczego nie obiecywała.

Gospodarstwo Berglundów rozsiadło się po dwóch stronach gościńca. Zabudowania mieszkalne stoją pod lasem, a stodoła, stajnia, szopa i obora opodal pól, które ciągną się do rzeki i stacji kolejowej. W drewnianym, osiemnastowiecznym domu jest kuchnia, a w niej palenisko, stół i dwie kanapy żeberkowe. Z drugiej strony sieni wchodzi się do mleczarni. Na poddaszu obok graciarni, gdzie poniewierają się najróżniejsze sprzęty i ubrania pamiętające kilka pokoleń, gnieźdzą się dwie izdebki.

W głębi rozległego, dobrze utrzymanego podwórza wznosi się leciwa komora, służąca jako spichlerz. Naprzeciwko starego domu stoi stosunkowo nowe "Dożywocie" z przeszkloną werandą, na którym rośnie sad.



Starsza pani Berglund, krępa i przysadzista, pomaga w mleczarni. Jest w luźnym pasiastym fartuchu i w chustce. Ma pomarszczoną twarz, brak jej zębów. W przestronnej mleczarni jest tylko jedno okno, ściany, podłoga i sufit świecą bielą. Pod ścianami stoją szerokie półki, a na nich pyszną się sery o najróżniejszych kształtach. W jednym kącie połyskuje ręczna wirówka, pośrodku króluje kadź. Pani Berglund nalewa mleko litrową miarką na długiej, haczykowato zakończonej rączce.

- Szlachtujemy dzisiaj dwa cielaki, niech Maj powie pani Bergman i pani Akerblom, że będzie cielęcina. Wątróbka też. Pastor przepada za wątróbką cielęcą. Podobno dzisiaj przyjechał? Chłopak mówił. Był na stacji i dowiedział się od Ericssona, że pastor przyjechał ze Sztokholmu tym o trzeciej. Może panicz Bergman chce miodowego cukierka?

Pani Berglund kolebie się na opuchniętych nogach do niebieskiej szafki w kwiaty i figurki i wyjmuje z niej porcelanową miseczkę z pękatymi żółtymi cukierkami, które wyglądają jak poduszeczki. Niech weźmie dwa, mówi staruszka i Pu czuje jej oddech. Nigdy jeszcze nie widział kogoś tak paskudnego, nawet ciotce Emmie daleko do porażającej brzydoty pani Berglund. No, podziękuj ładnie, ponagla Maj. Co? Pu szybko się jednak opanowuje. Dziękuję bardzo, mówi i lekko się skłania. Odrywa dwa lepkie cukierki i co prędzej wsuwa do ust, wypychając policzki. Dobrze, co? Pani Berglund mruży oczy. Niemal zupełnie schowały się pod zmarszczkami i brązowawymi guzami. Czy Maj napije się kawy? Parzę dla tych, co szlachtują. Nie, dziękuję, musimy wracać. Maj dyga. Ale dziękuję. Pani Berglund kładzie dłoń na głowie Pu. Cieszysz się, że ojciec przyjechał na urlop? Pu potakuje. Jutro wybieramy się do Granas i ojciec wygłosi kazanie. Tak, słyszałam. Staruszka przesuwa pokrywę na kadzi z mlekiem. Szkoda, że nie mogę być na mszy w Granas, to dla mnie za daleko. A ford chłopców jest w Borlange, w naprawie. Pani Berglund wychodzi z nimi przed sień, a potem idzie do kuchni dopilnować pękatego kociołka kawy. Nie zapomnij powiedzieć pani Bergman o cielęcinie. Staruszka żegna ich bezzębnym uśmiechem. Nie zapomnę! Dobranoc, pani Berglund! Dobranoc, Maj, i dobranoc, Puniu.

Pod oborą odbywa się szlachtowanie. Jeden cielak leży już na platformie z poderżniętym gardłem, krew splywa do blaszanki. Stary Berglund mocno nią potrząsa. Dwaj młodszy mężczyźni założyli uzdę drugiemu cielakowi. Do uzdy przywiązują sznur i wyprowadzają zwierzę. Chłop chowa za plecami młot kowalski. Troje małych Berglundów stoi z markotnymi minami w pobliżu miejsca egzekucji. Młoda pani Berglund pomaga teściowi przy zaszlachtowanym już cielaku.

Pu staje jak wryty. Widział, jak się zabija kurę; to jednocześnie zabawne i straszne. Raz kogut, bez głowy, frunął aż na stodółkę i parę dobrych minut trzepotał skrzydłami, zanim runął w dół. Ale szlachtowania dużego zwierzęcia Pu nigdy nie widział. Chłop wali cielaka młotem między uszy. Głuchy trzask. Cielę podskakuje, tańczy, po uchu splywa coś brunatnego. Jeszcze jeden potężny cios. Pada, natychmiast się podnosi i stoi nieruchomo z otwartą mordą. Po trzecim uderzeniu przednie nogi uginają się i zwierzę wali się w drgawkach.

Wiatr w sercówce ucichł, zmierzcha się, lecz nagle niebo nad zachodnimi graniami rozjaśnia się ogniście. Wieczorny pociąg do Krylbo daje sygnał koło Varoms i odpoczywa na stacji; z komina lokomotywy unosi się słup dymu, słychać postękiwania i głos wujka Ericssona. Opuszcza semafor i rozmawia z kimś ze stacji.

W dahlberskiej siedzibie albo, jak mówi wuj Carl, w "tworze", w jadalnym, w kuchni i na dolnej werandzie zapalono lampy naftowe. W pokoju matki, na piętrze, płonie lampka nocna; to z myślą o Małej, która boi się ciemności. Gdy patrzy się spod wychodka, dom, czy jak to nazwać, przypomina zaczarowaną chatkę z baśni i snów; tak jest rozjaśniony.

Dorośli zebrali się przy stole w jadalnym, który oświetlają dwie lampy, jedna z góry, druga z boku. Matka haftuje, ojciec przegląda gazetę, oboje używają okularów, matka zawsze zsuwa je na czubek nosa. Ciotka Emma kładzie pasjansa. Marta, pochylona nad blokiem rysunkowym, maluje rozcieńczonymi farbami wodnymi zimozioł. Marianne czyta opasłą biografię Richarda Wagnera i czasami coś w niej podkreśla ołówkiem.

W kuchni Dag i Pu chrupią chleb z twarożkiem i popijają ciepłym jeszcze mlekiem. Lalla ceruje przy kuchennym stole skarpetę, zdjęła sznurowane botki na obolałe stopy włożyła miękkie kapcie. Mimo duszącego ciepła narzuciła na ramiona wełniany kaftan. Na nosie ma okrągłe okulary w drucianych oprawkach. Obok niej, na stole, ostatnia już w tym dniu filiżanka kawy.

- Jutro Przemienienie Pańskie - wyjaśnia Lalla, jakby bracia Bergmanowie powinni się interesować takim wydarzeniem. -Dzień Przemienienia Pańskiego -powtarza - dzień szczególny.

- Dlaczego? - przez uprzejmość pyta Pu.

- Bo w tym właśnie dniu Bóg mówi do uczniów. I jak piorun w czasie burzy rozlega się głos z obłoku: "Ten jest Syn mój umiłowany, którego sobie upodobałem, jego słuchajcie!" Bóg miał na myśli Jezusa, że Jezus jest jego ukochanym synem. Byli tacy, którzy w to wątpili.

- A co w tym szczególnego? - dziwi się Dag i siorbie mleko ze szklanki.

- Tam, gdzie się urodziłam i dorosłam, dzień Przemienienia jest szczególny.

- W jaki sposób jest szczególny? - pyta Pu i mimo woli zaczyna go to interesować.

- Można się na przykład dowiedzieć, ile się będzie żyło. Ten, kto pójdzie o zachodzie słońca tam, gdzie ktoś się zabił, niejednego się dowie. Tak było u nas w domu.

- Czy Lalla próbowała? - pyta ironicznie Dag.

- Ja nie, ale moja przyrodnia siostra.

- No i...?

- Nic nie powiem. Ale było to szczególne. Poza tym siostra urodziła się w niedzielę.

- Co? - mówi Pu i rozdziawia usta.

- Ja jestem dzieckiem czwartkowym i widzę, co mają pod ubraniami zgrabne dziewczyny - prostodusznie informuje Dag.

Chrupią chleb i piją mleko. Lalla uśmiecha się, ma ładne, równe, sztuczne zęby i pogodny uśmiech, który szybko zaraża jej niebieskoszare oczy.

- Nigdy nie wiadomo, co tu jest prawdą, a co nią nie jest. Pu widzi inaczej niż Dag. Pastor widzi inaczej niż panna Eneroth. Ja widzę to, czego nie widzi Maj. Każdy widzi swoje.

- Dlaczego zegarmistrz odebrał sobie życie? - nieoczekiwanie pyta Pu, choć wcale nie zamierzał o to pytać.

- Nikt tego nie wie na pewno - mówi Lalla z taką miną, jakby doskonale wiedziała.

- Niech Lalla opowie.

- To Pu tak się spietra, że się zeszczy popod siebie - wtrąca Dag.

- Zamknij się! - odparowuje bez wrogości zniecierpliwiony Pu.

- Nikt nie wie na pewno - powtarza Lalla. - Ale słyszałam, że zwariował ze strachu. Nie pochodził stąd, tylko z Tammerforsu. Najpierw osiadł w Kvarnsvedenie, ale nikt się tam nie interesował zegarami, więc zarobek miał marny. Kiedy żona umarła na tyfus, przeniósł się do Borlange, gdzie dużo się wtedy działo i zaczęło mu się niezgorzej powodzić. Ale ludzie uważali go za dziwaka. Nie dlatego, że był szorstki czy opryskliwy, nie, to nie to. Przeciwnie. Miły, uprzejmy i z zamówień się wywiązywał, jak należy.

Był z całą pewnością uczciwy. A mimo to uchodził za dziwaka.

- Dlaczego popełnił samobójstwo?

Pu drapie się pod kolanem, gdzie ugryzł go komar. Przestał jeść kanapkę. Nawet Dag przysłuchuje się ze sceptyczną ciekawością. Lalla, wiedząc, że zyskała wdzięcznych słuchaczy, nie śpieszy się.

- Miał w sklepie wysoki stojący zegar, czarny, ze złotymi ornamentami wokół tarczy. Jak się otworzyło górne drzwiczki, można było popatrzeć na wahadło. Z jakiegoś powodu były też dolne drzwiczki. A za nimi nic, przynajmniej na to wyglądało. Zegar tykał dostojnie i miarowo, posepnym tonem wybijał półgodziny i godziny. Przez wiele lat zachowywał się zupełnie normalnie. Chodził bardzo punktualnie i ani razu nie trzeba go było naprawiać. Aż tu nagle, z dnia na dzień, zmienił się nie do poznania. Całkiem się rozregulował, albo się spóźniał, albo się spieszył, czasem po kilka godzin na dobę. A kiedy miał na przykład wybić drugą, wybijał siódmą. A kiedy miał wybić pełną godzinę, wybijał pół, czasem zatrzymywał się, jak martwy, żeby potem sam z siebie, nie nakręcany; ruszyć z kopyta. Historia z zegarem bardzo zmartwiła zegarmistrza. Naprawiał go, wymienił mechanizm, tryby, ciężarek, wahadło i wskazówki. Ale nic nie pomagało. W końcu wyniósł zegar do sypialni, ciemnej nory na tyłach sklepu, która służyła mu też za kuchnię. Nie mógł przecież dopuścić do tego, żeby taki nieznośny zegar wystawiał go na pośmiewisko klientów. To zrozumiałe. I tym sposobem mieszkał z zegarem dzień i noc. Kilka razy dziennie zamykał sklep i biegł do sypialni sprawdzać, czy zegar już się opamiętał. Nocami budził się co godzina i słuchał jego uderzeń. Nic się nie zgadzało. Pewnego dnia, kiedy wyjmował mechanizm, żeby mu się dokładnie przyjrzeć, ni stąd, ni zowąd, obluzował się jakiś trybik i głęboko rozciął mu dłoń. Krwawiła okropnie, krew

spływała na mechanizm i kapąła na stół. Musiał szukać pomocy w szpitalu. Tam go opatrzyli i zatamowali mu krwotok. Którejś nocy poderwało go na równe nogi trzynaście uderzeń, a może nawet czternaście, chociaż było wpół do czwartej. Działo się to zimą, światła w pokoju się nie paliły, a od dolnej części zegara bił jakiś dziwny blask. Zegarmistrz usiadł na łóżku i patrzył.

Do kuchni wchodzi Maj. Jest boso. Stawia na stole kwiecistą filiżankę bez ucha, po brzegi wypełnioną poziomkami.

- Gdzie Maj znalazła poziomki o tej porze roku? - dziwi się Lalla, być może wdzięczna za tę przerwę.

Pewnie zdaje sobie sprawę, że jej relacji dobrze zrobi pauza retoryczna. A może się z tym swoim zegarmistrzem zagalopowała i teraz ma trochę czasu na wymyślenie jakiegoś rozwiązania?

- Za starym młynem. Zawsze tam są, dwa, trzy razy w ciągu lata. Poszłam ot, tak, dla żartu. I co widzę? Zatrzęsienie poziomek! Ale zrobiło się już za ciemno.

- Maj może sobie nalać kawę. Zostało trochę w dzbanku.

- Rozmawiamy o zegarmistrzu - wyjaśnia Dag.

- Aha, o tym. Czy to dla Pu nie za straszne? I tak na noc.

- Nie boję się!

Skąd wszystko wiadomo o tym zegarmistrzu? - pyta Dag.

- Ostatnie lata swojego życia spędził w skromnej oficynie Andersa-Pera przy drodze do Solbacki, jakieś ćwierć mili stąd. I Anders-Per powiedział waszej babci, że zegarmistrz zostawił list, a na kopercie napisał: "Otworzyć po mojej śmierci". Ale nikt nic nie wie na pewno, bo tylko Anders-Per czytał ten list. Po jego śmierci młodzi sprzedali na aukcji jego sekretarzyk i list przepadł.

- Opowiadaj! - ponagla Pu, już wstrząśnięty.

-Tak... - Lalla powoli się rozkręca. - Zobaczył, że dolne drzwiczki zegara same się otwierają... i z głębi, z ciemności dobiega dziwny dźwięk. Podobny do płaczu. I nic nie widać. Zegarmistrz potwornie się przeraził, ale nie mógł przecież siedzieć w łóżku. Drżącą ręką zapalił świecę na nocnym stoliku i ze świecznikiem w garści podkraść się na palcach do zegara. Ze zdenerwowania zapomniał włożyć kaptcie, ale nawet nie poczuł, że podłoga jest lodowato zimna, bo kominek dawno wygasł.

- To zrozumiałe - mówi Pu, szcękając zębami.

- Tak. I ledwie się zegarmistrz podkraść do zegara, od razu zauważył, że wahadło porusza się wolniej niż zwykle, jakoś ociężale, z wysiłkiem, jakby się miało lada moment zatrzymać. Obie wskazówki opadły na szóstkę. Górne drzwiczki były zamknięte, dolne chrzęściły i

jeszcze kapkę się uchylili. Zegarmistrz runął w swej długiej nocnej koszuli na kolana, otworzył drzwiczki na oścież i poświecił. Najpierw nie zobaczył nic, ale potem, kiedy oczy przywykły do światła, dostrzegł w głębi jeszcze jedno drzwiczki.

Były uchylone. I już wiedział, kto to tak płakał. W środku kuliła się malusienka kobieta i rozpaczliwie łkała. Miała na sobie długą koszulę, na ramiona opadały długie czarne włosy. Zegar się zatrzymał, było teraz słychać tylko szloch kobiety i szum wiatru w przewodzie kominowym. Zegarmistrz wyciągnął rękę i dotknął tej małej istotki. Nie miała więcej niż pół metra wzrostu, nie była jednak ani dzieckiem, ani karlicą, tylko najprawdziwszą kobietą. Gdy ją dotknął, podniosła głowę, którą do tej pory chowała w dłoniach. I mógł zobaczyć jej twarz. Patrzyła na niego dużymi ślepyimi oczami, zamiast źrenic połyskiwały błękitnawe białka, w na wpółotwartych ustach nie było widać zębów; tak miała pokrzwawione wargi. Twarz pociągła i blada, niemal wychudzona, czoło wysokie, nos wąski i zgrabny. Zegarmistrz uznał, że nigdy w życiu nie widział nikogo piękniejszego, mimo że była taka maciupeńka.

- I oczywiście się w niej zakochał - mówi Maj.

- Nie wiem, czy się zakochał, ale coś się z tym biedakiem porobiło - wzdycha Lalla i zdejmuje z grzybka zacerowaną skarpetę. Rozciąga swoje dzieło na krawędzi stołu i wygładza.

- A potem? - przynagła Pu, zdjęty strachem.

- Wyjął małą panienkę z jej więzienia, przetaił jej usta i czoło wilgotną szmatką, owinał w szal i położył na łóżku. A potem zapalił lampę naftową i patrzył na nią. Zasłoniła swoje ślepe oczy powiekami. Chyba usnęła. Ale nie minęło dużo czasu, a czarny zegar zaczął nagle skrzypieć i dygotać, jakby zwariował. Wybijał godziny, zawsze raz i nieregularnie. Po prostu straszliwie hałasował, inaczej tego nazwać nie można. Drzwiczki, górne i dolne, otwierały się i zamykały z głośnym trzaskiem, wahadło huśtało się jak szalone. Zegarmistrz zrozumiał, że zegar się wściekł i zamierza go zabić. Wybiegł więc do warsztatu po ciężki stalowy młot z obuchem z jednej strony i z ostrym szpicem z drugiej i rzucił się na zegar. Kiedy jednym uderzeniem zniszczył tarczę, zegar runął na niego całym swoim ciężarem. Wielkością znacznie przewyższał niskiego, szczupłego chłopinę. Zegarmistrz wyszedł z tego z raną na stopie. Zanim zegar grzmotnął o podłogę, w chwili gdy tarczę miażdżył młot, wydało mu się, że za trybami mechanizmu majaczy wykrzywiona, zła twarz. Twarz o ślepych wybałuszonych oczach, rozdziawiająca usta pełne spróchniałych zębów. Na czole widniało szerokie cięcie, z którego tryskała krew. To na pewno straszne, ale będzie jeszcze straszniej.

Lalla dopija kawę i łyżeczką wyskrobuje cukier z dna filizanki. Maj, Dag i Pu czekają w skupieniu i napięciu. Byle nie przerywać.

- No i tak - mówi Lalla po starannie odmierzonej pauzie. - Zegarmistrz roztrzaskał zegar w drobny mak, kto wie, czy nie rozgniół też tego stworzenia, które tam mieszkało. Ale to tylko domysły, bo w jego liście nie było o tym ani słowa. W trakcie niszczenia zegara malutka kobieta wrzeszczała i wyła, wydawała z siebie jakieś nieludzkie ryki, jak lis w potrzasku albo coś w tym rodzaju. Na próżno zegarmistrz usiłował ją pocieszać. Tulił ją i głaskał, mówił do niej, może się nawet oświadczył, a ona bez przerwy krzyczała. Ogarnięty rozpaczą, zaklinał ją na swoje życie, płakał i błagał. Bo rzeczywiście chodziło o życie. Kobieta próbowała go dostać, ale przecież była ślepa, więc mógł się bronić. Nagle mu się wyrwała, sturlała z łóżka na podłogę i ruszyła na czworakach. Przewrócił się stół z lampą naftową i

w kącie zaczęło się palić, chociaż dokładnie nie wiem, bo w liście nic o tym nie było. Zegarmistrz rzucił się za nią, chwycił mocno i całował, a ona kąsała jego wargi, tak, i walczyli zaciekle, aż trudno opowiedzieć o wszystkim, co się tam działo. Wreszcie zegarmistrz roztrzaskał kobietę młotkiem, w taki sam sposób, w jaki roztrzaskał zegar. Stracił panowanie nad sobą. Szalał. Kiedy się uspokoił, zakopał kobietę i zegar w ogrodzie. Kilka dni później przeprowadził się z Borlange do Andersa-Pera, przy drodze do Solbacki, a po niecałym roku powiesił się.

Wokół żółtego koła lampy naftowej gęstnieje mrok, o szklany klosz uderza éma. Z przyległego pokoju słycać Marianne. Śpiewa a cappella jedną z "Songs" Jonasa Love Almqvista.

Cóż za rozkosz, Boże, Panie,

słyszeć świętego anioła niebiańską pieśń.

Cóż za błogość, Boże, Panie,

umrzeć przy wtórze tonów cnych.

Łagodnie płyn, o, duszo, rzeką,

tajemną, rajską purpury rzeką.

Łagodnie się zanurz, o, duchu,

w orzeźwiający Boga objęcia.

Dag cicho wstaje od stołu, wstawia do zlewu pustą szklanę po mleku i znika; drzwi do jadalnego bezgłośnie się otwierają i zamykają.

- Dagge kocha się w Marianne - mówi Pu.

- Co taki smarkacz jak Pu może o tym wiedzieć - odpowiada Maj i szczypie Pu w ucho.

Pu jest zachwycony.

- Wiem. Sam mi to powiedział. Chce śpiewać w operze, tak jak Marianne.

- Nieładnie donosić na brata. - Lalla wstaje i składa swój koszyk z przyborami do szycia. - Pu powinien już iść spać.

- Wolno mi siedzieć do wpół do dziesiątej.

- Kto tak powiedział?

- Babcia.

- Co innego u babci, co innego tutaj. U Bergmanów obowiązuje godzina dziewiąta.

Pu z westchnieniem podnosi się z krzesła i myśli o jutrzejszym dniu. Dużo się wydarzy w dzień Przemienienia Pańskiego. O wschodzie słońca wyprawa do miejsca samobójstwa, żeby się przekonać, czy uda mu się spotkać zegarmistrza, a potem podróż z ojcem do kościoła w Granas.

- Co ci jest, Pu, źle się czujesz?

- Co? - mówi Pu i rozdziawia usta.

Maj patrzy na małą postać.

- Zamknij buzię. Pytam, czy Pu nie czuje się dobrze.

- Dobrze - wzdycha Pu - ale tyle tego.

- Chodź, posłuchamy przez chwilę Marianne, a potem dopilnuję, żebyś poszedł do łóżka. Nie stercz z rozdziawionymi ustami. Musisz pamiętać o zamykaniu buzi. Głupio się wygląda.

- Wiem. Tylko idioci się rozdziawiają.

- Dobranoc, Pu - mówi Lalla. - I nie zapominaj, że jesteś niedzielnym dzieckiem.

- Tak. - Pu kiwa głową, przygnębiony i wyróżniony. - Tak.

- Dobranoc, Maj. Idę do siebie.

- Dobranoc. panno Nilsson.

- Dobranoc, Pu.

- Dobranoc, Lalla.

Lalla znika na kuchennych schodach prowadzących do szeregowca z ciasną celą. Maj chwytając Pu za chudy kark i prowadzi przed sobą do jadalnego.

Marianne śpiewa. W mroku. Zgaszono lampy, tylko dwie świece na kredensie oświetlają pokój. Siedzi na stołku do pianina, lekko pochylona, z dłońmi na podołku. Patrzy rozszerzonymi oczyma, śpiewa żywym, barwnym głosem. Ja też się w niej Kocham, myśli ze smutkiem Pu.

Matka siedzi przy stole. Głowę wsparła na dłoni, zamknęła oczy. Pu wzdycha: Najbardziej jestem zakochany w matce. Chciałbym czuć na sobie jej oddech, ale nie mam odwagi do niej podejść. Nie, najlepiej zostawić ją w spokoju. Pu siada przy drzwiach do holu na krześle z wysokim oparciem. Z góry schodzi cichutko senna Mała. Z misiem Baloo w objęciach. Pu łapie ją w progu i sadza sobie na kolano. Mała nie protestuje, natychmiast wkłada kciuk do

buzi. Drgają długie rzęsy, przytula się mocno do Pu; przyjemnie mu, że siedzi w mroku z siostrą w objęciach.

Ojciec odsunął krzesło od stołu, okulary ma na czole, przesłania oczy dłonią, zdjął lewy but, porusza się w skarpecie duży palec. Ciotka Emma śpi w swoim wygodnym krześle, pod głowę podłożyła poduszkę. Otwarte usta, zakatarzony, niemal chrapliwy oddech. Smutne, nieruchome spojrzenie Marty. Mimo utrzymującego się wszechobecnego ciepła marznie. Czerwone policzki. Na pewno ma gorączkę.

### III

Dag i Pu zamieszkują pokój przypominający wskutek braku planów architektonicznych straszliwie rozciągniętą garderobę o powierzchni mniej więcej dwa metry na siedem. Sufit opada w kierunku okien, przy których może się wyprostować tylko ktoś, kto mierzy mniej niż sto trzy centymetry. Pod dłuższą ścianą stoją jedno za drugim dwa liche żelazne łóżka o sprężystych spodach. Między oknami składany stolik. Dwa krzesła nie do pary i rozchybotana szafa z lustrem dopełniają wyposażenia.

Pu śpi, a może nie śpi. Dag czyta książkę z czerwonymi okładkami, przypuszczalnie ogląda tylko fotografie. Na krześle stoi świecznik, dając stonowane oświetlenie. Pu zerka.

- Co czytasz?

- Gównno cię to obchodzi.

- Czy to książka z gołymi babami?

- Sam zobacz. Ale to kosztuje pięć ore.

Pu natychmiast wyjmuje pięć ore z kartonowego pudełka. Masz pięć ore.

Bracia wlepiają oczy w czerwoną książkę. Nosi tytuł "Nackte Schonheit". Dag, który od dwóch lat uczy się niemieckiego, wie, co to znaczy. Na zdjęciach pozują panowie i panie, biegają, skaczą, gimnastykują się, piją kawę, śpiewają przy obozowym ognisku. Wszyscy nadzy. Dag pokazuje: Ta ma na myszce niezłą perukę, widziałeś coś takiego? Zdjęcie przedstawia chudą kobietę, która zamierza zrobić mostek. Ustawiona jest pod ostre światło. Pu bardziej się podoba dosyć krągła dziewczyna, która biegnie prosto na aparat.

- Jest podobna do Marianne.

- Idź do diabła, wcale nie jest.

- Ta jest dobra - mówi Pu i zaczynają go palić policzki. - Ta jest naprawdę dobra. Można byłoby ją ugryźć.



- Jesteś głupi. - Dag zamyka książkę. - Nie powinieneś oglądać takich zdjęć. To dla ciebie niezdrowe. Śpimy.

- Od kogo dostałeś książkę?

- Nie dostałem, tylko kupiłem, idioto.

- Od kogo?

- Oczywiście od wuja Carla. Zapłaciłem koronę pięćdziesiąt. Wuj nigdy nie ma pieniędzy. Gdyby mógł, sprzedałby babcię.

- Myślisz, że wzięłoby się parę groszy za ciotkę Emmę?

- Żeby się tej baby pozbyć, trzeba płacić. Ale Lalla pewnie by coś dorzuciła.

Kilka minut ciszy. Ciemność.

- Dagge?

- Zamknij się, śpię.

- Myślisz, że Maj pieprzy się z Johanem Berglundem?

- Zamknij się. Ona się pieprzy z naszym starym. Chyba wiesz, idioto.

- Ze starym?

- Nie chce mi się gadać. Zamknij się.

- A Marianne? Czy to nie Marianne pieprzy się ze starym?

- Ona też. Wiesz przecież, że ojciec ma pierdolca na punkcie pieprzenia. Włazi na wszystkie baby oprócz Lalli i ciotki Emmy.

- Babcię też pieprzy?

- No jasne, ale tylko na Boże Narodzenie i Wielkanoc. Zamknij się wreszcie.

Łóżko Daga cicho i rytmicznie poskrzypuje. Pu chce coś powiedzieć, ale daje sobie spokój. Nie bardzo wie, czym się teraz brat zajmuje, przeczuwa jednak, że to coś absolutnie niedozwolonego.

- Dagge?

- Zamknij się, do cholery.

- Myślisz, że stary i stara pieprzą się w tej chwili?

- Chcesz oberwać?

Chwila ciszy. Miarowe skrzywienie łóżka nasila się.

- Dagge?

- O!

- Co robisz?

Żadnej odpowiedzi. Łóżko uspokaja się.

- Dagge? Śpisz?

Żadnej odpowiedzi. Z braku kompana do rozmowy Pu niemal od razu zasypia. Niespokojni mieszkańcy dahlberskiego przybytku śpią.

\*\*\*

Znad skały nadciąga nocny wiatr, szumi w sosnach, sercówce i liściach rabarbaru. Na rozgrzaną papę siąpi chwilowy deszczyk.

Skrzypią schody i w drzwiach staje ciotka Emma. Wystrojona w długi szlafrok. Na głowie szydełkowa czapeczka, włosy splecione w ciasny szary węzeł. Wejście na schody bardzo ją zmęczyło. Oddycha ciężko.

- Chłopcy śpią?

Mruczenie, senne mamrotanie.

- Muszę prosić któregoś z was, żeby mi pomógł.

- Co?

- Muszę pójść do wychodka.

- Co?

- Muszę natychmiast do wychodka. Ktoś musi ze mną pójść, wziąć lampę i podtrzymać mnie. Nie mogę iść sama, bo się przewrócę.

- A nie może ciocia Emma zrobić do wiadra?

- Nie, bo to chodzi o coś poważniejszego, rozumie Dag.

- A nie może ciocia poczekać do rana? Maj albo Marta mogłyby wtedy pomóc.

- Nie wytrzymam, rozumie Dag. Wczoraj wieczorem zjadłam pół pudełka fig. Okropnie boli mnie brzuch, i wzdyma.

- Mogę cioci pomóc - uprzejmie zgadza się Pu.

Wstaje z łóżka i wsuwa stopy w sandały. Dag odwraca się do ściany.

- Punio jest bardzo miły dla starej ciotki. I dostanie koronę za fatygę.

- No, jeśli ciocia absolutnie musi, to nie ma sprawy - odzywa się Dag i siada na łóżku.

- Nie, dziękuję. Śpij dalej. Ciocia Emma nie będzie sprawiać kłopotu.

I procesja rusza. Pu idzie pierwszy, w lewym ręku niesie starą lampę stajenną, prawą ściska małą tłustą dłoń ciotki Emmy. Ciotka porusza się ostrożnie, wolno stawia jedną nogę przed drugą, dyszy z wysiłku i bolesnych dolegliwości. Od czasu do czasu przystaje, na ramiona zarzuciła koc. Jeszcze mży, a z trawiastego zbocza i kamienistej ścieżki odparowuje słoneczne ciepło.

Wreszcie docierają do celu. Lampa na jednej z desek wychodka. Starsza pani, pojękując, wbija się w największy otwór. Pu siedzi na schodkach i drapie się tam, gdzie ukąsił go komar. Drzwi są na wszelki wypadek otwarte. W gigantycznym brzuchu ciotki Emmy dudni i bulgoce. W nocnej ciszy grzmia głuche, cuchnące pierdnięcia. Za szczupłymi plecami Pu słychać postękiwania i jęki. A potem ciężkie pluski i głośny szum. Szczy jak koń, myśli Pu. Dyskretnie zaciska nos kciukiem i palcem wskazującym, żeby ciotka tego nie zauważyła i nie poczuła się zażenowana. Zalega cisza.

- Czy ciocia Emma skończyła?

- Nie. Nie poganiaj mnie.

- Jeśli ciocia chce, możemy tu siedzieć całą noc.

- Jesteś bardzo miłym chłopcem, Puniu.

- Czy bardzo ciocię boli brzuch?

- Bo ja wiem? Chyba tak. Nie, nie wiem, Puniu. Tak mi przykro. Całej cioci Emmie jest przykro. Nigdy nie mogę się połapać z tymi obstrukcjami i biegunkami. Czasem wydaje mi się, że wszystko ze mnie wyleci, kiszki, żołądek, dusza, i umrę. Myślę o jedzeniu, które w siebie ładuję, przysięgam sobie, że będę uważać i nie tknę już tego, co źle znoszę, ale następnego dnia nie dotrzymuję przysięgi i znów się zaczyna. Oj. Oj. Och. Oj. Chyba umrę.

Przytłumione dźwięki trąbki i głuche odgłosy bębena. Ogromna postać kołysze się, kurczy i prostuje w skąnym migotliwym świetle stajennej lampy; dyndają tłuste nogi, łokcie przywierają do boków. Oj. Oj.

- No tak, a teraz naturalnie krwawienie. Okropne hemoroidy, że też nigdy się nie goją. Ciocia musi zatamować krew swoją nocną czapeczką. Dlaczego Bergmanów nie stać na papier

toaletowy? Dlaczego pastor używa gazet? Chętnie bym zapłaciła. Aj, znów się zaczyna, a ja...

Sapanie milknie, Pu już nie słyszy oddechu ciotki. Odwraca się. A jeśli ciotka Emma umarła i gapi się na niego rozszerzonymi, martwymi oczami? Byłoby się czego bać. Ale ciotka nie umarła. Starsza pani ukryła twarz w dłoniach. Siedzi wyprostowana, koszula nocna zadarta na potężnych udach, włosy w nieładzie, bo ściągnęła czapeczkę, ręce na twarzy, ciche kołysanie. Może płacze?

- Czy cioci Emmie jest smutno?

- Tak.

- Dlaczego?

- To piekło, Puniu.

- Co?

- Tak, piekło.

Odślania twarz i teraz Pu widzi na zwiotczonych policzkach ciotki Emmy połyskujące strużki łez. Ciotka spuszcza głowę i przebiera palcami po stajennej lampie. Cień na ścianie ogromnieje. I mówi jakimś szczególnym głosem:

- Starość to piekło, rozumie Punio. A kiedy człowiek umiera, to też wcale nie jest zabawne. Wszyscy odczuwają ulgę, dostaną w spadku parę groszy i trochę mebli. Jak to dobrze, że ta baba wreszcie wykitowała. Nigdy o nikogo się nie troszczyła. I została sama! I zajadła się na śmierć, tak, to prawda. Nie da się zaprzeczyć, że warzyła przepyszne wigilijne piwo.

Ciotka Emma szeleści gazetą, kładzie czapeczkę w jakimś stosownym miejscu, podciąga długie różowe kalessony i opuszcza nocną koszulę. Pu pomaga jej zejść z dwóch schodków. Dłoń ciotki jest zimna i wilgotna. Ciotka nieporadnym ruchem głaszcze Pu po głowie. Nad górą i wstęgą lasu wisi brzask.

\*\*\*

Pu śpi snem skonanego. Może mu się śni, że lata albo jest malutki i leży goły na brzuchu Maj, albo posiadał moc zabijania. Najpierw zabije brata, potem przyjdzie kolej na ojca. Ojciec będzie go błagał, płakał i krzychał ze strachu. Śmierć będzie jednak nieuchronna, konieczna. Król rozkazał Pu zabić ojca, więc nie ma o czym dyskutować.

Ktoś powiedział, że "lęk urzeczywistnia przedmiot lęku". Ta słuszna maksyma dotyczy także małych dzieci, na przykład takich jak Pu. Od ubiegłej zimy Pu nęka niepokój, że ojciec i matka nie chcą już być ze sobą. Raz stał się mimowolnym świadkiem rękoczynów między rodzicami. Gdy się zorientowali, że są obserwowani, natychmiast przestali się bić i zajęli się

Pu, który nie potrafił pohamować łez. Łez strachu. Ojciec miał zadrapany policzek, matka zmierzwione włosy, drżące wargi, pociemniałe oczy i czerwony nos. Wyjaśniali mu porywczo, że dorośli mogą się na siebie wściekać jak byle dziecko. Ale to ich wyjaśnianie nie na wiele się zdało. Pu się przeląkł, choć nie od razu. Strach narastał w nim stopniowo. I od tamtej pory zaczął się rodzicom baczniej przyglądać. Widział, że czasem ich twarze przybierały szczególny wygląd i szczególne mieli głosy. Ojciec bladł, białą mu oczy i ledwie dostrzegalnie ruszał głową. Matka pachniała dziwnie metalicznie, jej ciepły głos chropowaciał, jakby brakowało jej powietrza. Pu podzielił się tym z bratem, ale Dag popatrzył na niego szyderczo i roześmiał się: Mam tych państwa w dupie. Dla mnie mogą sobie iść do diabła. Najważniejsze, żeby mi dali spokój i żeby ten pieprzony cham, który twierdzi, że jest moim ojcem, przestał mnie bić trzepaczką. Pu milczał. Problem pozostał.

Teraz budzi się z głębokiego snu. Ma takie wrażenie, jakby oberwał w przepoń, jest zdezorientowany, nie kojarzy, w której się znalazł rzeczywistości: w swojej, tej oswojonej i dobrze kontrolowanej, która mimo istniejących w niej przedziwnych obrazów i postaci, jest jego własna, łatwo rozpoznawalna, czy w tej drugiej, nowej i budzącej strach, która zaczęła okupować jego myśli i uczucia. Sekundę po przebudzeniu wie, co go wyrwało ze snu. Z pokoju matki dobiegają głosy: niskie, czasem szepczące. Rodzice pochłonięci są jakąś rozmową, nie poznaje ich głosów, ściśle rzecz biorąc, przywołują w nim pamięć o nagłym strachu. Co teraz, do cholery? Co znaczą te ściszone, ślizgające się, obce tony w środku nocy? Pu szczęka zębami, psiakrew, muszę posłuchać, muszę posłuchać pod drzwiami, żebym zrozumiał, o czym mówią. Wstaje, stawia boscie stopy na linoleum. Jest zimne. Dygoce, mimo że ciepło nie opuściło tego kichowatego pokoju.

Drzwi do pokoju matki są na wpół otwarte. Zajmuje dogodną pozycję na korytarzu: może patrzeć z ukrycia. Matka siedzi na łóżku, ręce obejmują kolana, nocna koszula ześliznęła się z krągłego ramienia. Nie zaplotła na noc warkocza, ciężkie ciemne włosy opadają na barki, w mieniącym się świetle brzasku jej twarz wydaje się blada. Girlandy kwiatów na roletach, ciepłe zielone ściany. Chiński parawan przy umywalce, pejzaże (akwarele wuja Ernsta), słonecznożółty szmaciak na podłodze, wszystko jest szare, zmienia się, wolno, powoli. Ojciec siedzi na białym krześle z wysokim oparciem. Ma krótką nocną koszulę z czerwonymi lamówkami, jest bosy, dłonie splecione. Pu myśli, że się w niego wpatruje, ale oczy ojca nie widzą, ojciec przypuszczalnie nie widzi nic prócz własnej zgryzoty. Mimo anemicznego światła obraz rodziców jest wyrazisty. Dobrze go pamiętam. Mogę go przywołać, kiedy tylko zechcę, odtworzyć napawający strachem dystans i bezruch. W tym momencie świat, nad którym Pu tak dobrze panował, gdzie nawet duchy miały swoje miejsce, odebrał cios śmiertelny. Rozsypał się, rozpadł, nic po nim nie zostało. Zdetronizowany król musiał opuścić swój pałac, by jako najmniejszy i najnędzniejszy ze wszystkich małych i nędznych penetrować utraconą krainę, która ku jego przerażeniu nie miała granic. Tam, na łóżku, siedziała matka, obejmując rękami kolana, tam, na krześle z wysokim oparciem siedział, splatając dłonie, ojciec i patrzył nieruchomo w jakiś punkt za lewym uchem Pu. Nie pamiętam, jakie padły słowa, pamiętam obraz i chłód podłogi, wydaje mi się, że pamiętam ton głosu i ładny zapach matczynych kwiatów i mydła. Ale słów nie pamiętam, wymyśliłem je, domyśliłem, zrekonstruowałem sześćdziesiąt cztery lata później.

- To upokarzające - mówi ojciec i głęboko wzdycha.

- Przecież powiedziałam, że nie musisz przyjeżdżać.

- Musiałem przyjechać z bardzo prostej przyczyny. Tęsknię za tobą i za dziećmi, nie chcę być sam. Mam dosyć samotności.
- Nie mógłbyś być trochę przyjemniejszy, Eriku? Chyba widzisz, jak się cieszymy, że tu jesteś. A może tego nie widzisz?
- Tak, wyobrażam sobie... ale to takie upokarzające. Wparadowuje tu twoja matka, wlejąc z sobą tego pajaca Carla i nawet nie spyta, czy wolno.
- Jesteś niesprawiedliwy. Mama zadała sobie tyle trudu, żeby do nas przyjść wyłącznie po to, żeby cię przywitać.
- Przyszła, żeby mnie zawstydzić, znam tę niegodziwą kobietę. Jaki to dla niej triumf, że mieszkamy w tej szkaradnej ruderze w szkaradnej okolicy. Wbrew mojej woli. Wbrew mojej wyraźnej woli.
- Nie sądziłam, że sługa boży może nosić tak wielką nienawiść w sercu.
- Nie wybaczam tym, którzy chcą mnie zniszczyć.
- To straszne, co mówisz
- Ach, tak, straszne?
- Straszne. Przypominasz swoją nieszczęsną mamę. Mówisz jak maniak.
- Nie mogę wybaczyć komuś, kto nienawidzi mnie tylko dlatego, że istnieję.
- Mówisz dokładnie tak jak Alma!
- My nie byliśmy tacy wytworni. Otóż to. Nie byliśmy tacy wytworni. Oczywiście.
- Powinieneś się usłyszeć
- A ty powinnaś siebie usłyszeć, kiedy mówisz "nieszczęsna mama".
- Czym my się właściwie zajmujemy.
- Nie mogliśmy chodzić do teatru ani wybrać się do Włoch czy Mosseberga, nie stać nas było na kupno najnowszych powieści.
- Nie masz w tej sprawie nic do powiedzenia. Korzystałeś z moich pieniędzy w takim samym stopniu, co ja i dzieci.
- Tak.
- I nie mów w ten sposób.
- Tak.

- To straszne, kiedy się tak zachowujesz.
- Możliwe. Ale to nie ja chciałem mieszkać na Villagatan, w tym drogim mieszkaniu. Na Skeppargatan było nam dobrze.
- Bez słońca. I dzieci chorowały.
- Powtarzasz to.
- Doktor Furstenberg powiedział. . .
- Wiem, co powiedział doktor Furstenberg.

Matka chce się odezwać, milczy jednak. Ogryza paznokcie. Jest wściekła. Milczy i zbiera siły. Pu widzi, że ojciec się poddał, patrzy na żonę z boku i staje przy białym biurku. Jego sylwetka odcina się wyraźnie na tle jasnego prostokąta rolety. Cisza pęcznieje, staje się coraz bardziej przerażająca. Teraz ojciec ma głos:

- Nic nie mówisz?
- Uważasz, że powinnam coś powiedzieć?
- Możesz chyba powiedzieć, co myślisz.

Ojciec się boi, to widać.

- Więc sądzisz, że mogę powiedzieć, co myślę - mówi wolno matka.

Ojciec milczy i matka milczy. Kiedy matka się po chwili odzywa, jej głos jest spokojny jak wirujące płatki śniegu. Pu kurczy się żołądek i łzy cisną się do oczu, choć wcale nie chce płakać. I nie chce słyszeć, co matka ma do powiedzenia, ale nie może się ruszyć, stopy odmawiają posłuszeństwa, musi więc zostać i słuchać.

Matka mówi, zerkając na odgryzioną skórkę na palcu wskazującym; trochę krwawi.

- Chcesz wiedzieć, co ja myślę? Tak, od roku często się nad czymś zastanawiałam. A jeśli mam być dokładna, odkąd urodziła się Mała.
- Może nie chcę wiedzieć - mówi ojciec słabym głosem.
- Ale teraz ja chcę, żebyś wiedział, i już mnie nie powstrzymasz.
- Chyba sobie pójdę.
- Oczywiście, nie krępuj się. Byłoby jednak dobrze, gdybyśmy choć raz porozmawiali szczerze. Żebyśmy raz na zawsze wiedzieli, na czym stoimy.

Matka patrzy na ojca i lekko się uśmiecha.

- Długo myślałam o tym, żeby zabrać dzieci i na jakiś czas cię opuścić.

Cisza. Postać przy oknie tkwi bez ruchu. Matka odwraca głowę i patrzy na ojca.

- Chcę się przeprowadzić do Uppsali, w kamienicy rodzinnej jest wolne pięciopokojowe mieszkanie, na ostatnim piętrze. Mogę je tanio wynająć. Od podwórza, słoneczne i ciche, świeżo po remoncie, z łazienką i wszelkimi wygodami. Dag i Pu będą mieli blisko do szkoły, tylko przejść przez ulicę. A Maj chętnie zaopiekuje się Małą. Zamierzam też podjąć pracę. Napisałam już do siostry Elisabeth. Jestem tam mile widziana. Poza tym będę bliżej brata Ernsta i mamy, i moich najlepszych przyjaciół. Bez pytania. . . bez twojego. . . bez tej. . . zazdrości. . . będę trochę wolniejsza. . . będę. . . wolniejsza. . .

W brzozie za roletą rozskrzeczały się poranne sroki, lekko wieje, roleta wybrzusza się. Ojciec opuścił głowę i rysuje coś palcem po bibule na podkładce do pisania. Pu stoi skamieniały, sparaliżowany śmiertelnym przerażeniem.

- A więc mamy się rozwieść?

- Tego nie powiedziałam.

- Chcesz, żebyśmy się rozwiedli, i zamierzasz mnie opuścić?

- Uspokój się, Eriku, i spróbuj posłuchać, co...

- Odejdiesz i zabierzesz dzieci.

- Nigdy nie mówiłam o rozwodzie.

- Czy to Torsten naszpikował cię tymi pomysłami?

- Nie, nie Torsten.

- Ale z nim rozmawiałaś.

- Oczywiście, że rozmawiałam.

- Rozmawiałaś o nas z obcymi.

- On jest naszym najlepszym przyjacielem, Eriku! I dobrze nam życzy.

- Tak jak twoja mama i naturalnie Ernst, twój szanowny brat, i siostra Elisabeth! A z kim nie rozmawiałaś? Wstyd mi, naprawdę wstyd. Rozmawiasz ze wszystkimi oprócz mnie. Sądzę, że chętniej słuchasz obcych niż mnie.

Gorzka rozterka. Pu wciąż nie może się ruszyć, a najbardziej ze wszystkiego obawia się końca bez łaski, kary bez wybaczenia, ciśnięty w mrok wyląduje pośród ostrych kamieni i nikt go nie będzie szukał, nikt go nie dźwignie z ciemności.

- Teraz przynajmniej już wiesz, czego ja chcę - mówi matka po długim milczeniu. - Pytałeś i wiesz.



- A gdybym nie zapytał?

- Nie wiem, Eriku. Czekałam na okazję, ale byłam niepewna.

- Ale, jak rozumiem, teraz jesteś pewna.

- Usiądź na łóżku, mój drogi. Jesteś tak daleko, a musimy się przecież jakoś z tego wykaraskać. Wspólnie. Nie chciałabym cię ranić.

- Ach, tak, nie chciałabyś.

W głosie pastora jest więcej smutku niż ironii. Siada ciężko w nogach łóżka, daleko od żony. Żona usiłuje dotknąć przegubu jego dłoni. Nic z tego.

- To takie trudne, Eriku. Nie chciałabym cię ranić.

- Już to powiedziałaś.

- Ile razy tu przyjeżdżasz, zawsze stajesz się niespokojny i niecierpliwy. A w domu mamy mnóstwo pracy. Martwisz się kazaniem, brakuje nam czasu na wspólne wyjazdy, a jeśli nawet gdzieś wyjeżdżamy, jesteś skwaszony, że musi się to odbywać na mój koszt. Poza tym moje zajęcia parafialne, prowadzenie domu, opieka nad dziećmi ogromnie mnie czasem męczą.

Ojciec zbliża dłoń ku twarzy i pociąga nosem. Niewprawnie i okropnie. Matka klęka, by pogłodzić go po policzku, ale on się odsuwa i wstaje.

- Wychodzisz?

- Przejdę się. Dobrze mi to zrobi.

- Teraz, w środku nocy?

- Tak, właśnie teraz.

- Pójdę z tobą.

Matka wstaje, zbiera rozpuszczone włosy. Mała bosa stopa wysokim podbiciu i okrągłych palcach: idę z tobą.

- Nie, dziękuję, Karin. Chcę być sam.

- Nie możesz tak wyjść.

- Nie będziesz mi mówić, co mi wolno, a czego nie wolno.

- Nie idź. To najgorsze, co możesz zrobić.

Ojciec ruszył już ku drzwiom, ale teraz się zatrzymuje i odwraca. Mówi z niezmaconym spokojem.

- Jedno sobie zapamiętaj, Karin. Po raz ostatni grozisz mi zabranieniem dzieci i wyprowadzką. Po raz ostatni! Ty i twoja matka. Dosyć już upokorzeń!

- To nie groźba.

- Tym gorzej. Wobec tego wiemy, czego się trzymać.

- Chyba tak.

- Zawsze właściwie byłem sam. Teraz będę naprawdę sam.

I ojciec idzie, a Pu bezszelestnie daje nura za drzwi pokoju dzieciennego. Trzeszczą schody, na krzesle obok garderoby leżą ojcowe ubrania. Pu zastanawia się, czy nie pójść do matki po pociechę. Mógłby na przykład powiedzieć, że nie może usnąć, bo boli go brzuch, jeśli matka będzie w nastroju, zawsze coś zyska. Jakiś głos mu jednak mówi, że w tej właśnie chwili nie ma raczej co liczyć na słowa otuchy. Zerka na nią ukradkiem. Siedzi wyprostowana na łóżku, bosa stopa na podłodze, łka bez łez, przesuwa dłoń po policzku i czole, jakby chciała zdjąć niewidzialną pajęczynę. Chlip, chlip, wciąga powietrze: tak, jest ciężko.

Nagle zaczynają pisać na wyścigi wioskowe koguty, jeden rezyduje u Berglundów, drugi u ogrodnika Tornqvista.

Pu długą chwilę się zastanawia, w końcu podejmuje decyzję. Tak, tak robi. Właśnie tak. Nie ma sensu iść do łóżka, naciągnąć kołdrę na głowę i udawać, że nic się nie stało, teraz, kiedy znany mu świat runął z hukiem na jego oczach. I uszach. Cicho wchodzi do pokoju dzieciennego i szybko się ubiera: sprana koszula, obcięte kalesony, krótkie spodnie i sweter, sandały w rękę. Przemknąć po schodach, unikając skrzypiących stopni. W brzuchu harcuje zmęczenie i podniecenie, wątlą klatkę piersiową ściska przerażenie, ale nie płacze, nie można płakać, przebaczenia już nie ma, po co zanosić modlitwy do Boga i wypłakiwać mu się, przecież Bóg najwyraźniej Pu olewa. Pu przeczuwał to od dłuższego czasu. Anioły stróże odleciały z furkotem i Bóg o nim zapomniał. Może nie istnieje. Na białym niebie nie ma chmur, w swoim ogromnym kole tuż pod skałą Djurmo dudni słońce. Czarna rzeka zamienia się w ciekłe srebro. Już prawie dzień, sweter grzeje. W drzewach szumi wiatr, jaskółcze dzieci startują do próbnych lotów.

Pu od razu dostrzega ojca. Siedzi na koślawej ławce pod werandą. Ma na sobie koszulę bez kołnierzyka i znoszone letnie spodnie, ciągle jest w kapciach, na ramiona narzucił starą skórzaną kurtkę. Pali fajkę. Trawa lśni od rosy. Pu zmoczył sobie stopy. Podchodzi do ławki i siada.

Ojciec patrzy na niego ze zdumieniem.

- Już wstałeś?

- Wybieram się do lasu.

- Aha. A po co, jeśli można spytać?

- Żeby się przekonać, czy zobaczę ducha.

- Chciałbyś zobaczyć ducha?
- Widmo.
- A gdzie?
- Na miejscu samobójstwa.
- Zegarmistrza?
- Jestem przecież niedzielnym dzieckiem.
- Czy ty naprawdę myślisz, że duchy istnieją?
- Lalla i Maj mówią, że tak.
- Aha.

Knwersacja zamiera. Ojcowa fajka skwierczy. Kiedy gaśnie, ojciec znów ją zapala. Pu wacha. Lubi ten zapach.

- Dym fajkowy odpędza komary - mówi ojciec.
- Dostyć dużo tu komarów, jak na tak wczesną porę - grzecznie odpowiada Pu.

I znów cisza. Słońce wylewa się na górski grzbiet, białe i ostre, Pu przymyka oczy, pieką powieki.

- Masz ochotę towarzyszyć ojcu do Granas? Najpierw pojedziemy pociągiem do Djuras, a potem dobrą milę rowerem.

Ojciec zwraca twarz ku Pu i patrzy na niego niebieskim spojrzeniem, wreszcie wyjmuje fajkę z ust i pyta jeszcze raz. Pu milczy, stanął przed dylematem nie do rozwiązania: Ojciec jest smutny i prosi, by Pu dotrzymał mu towarzystwa. Nie może odmówić.

- Właściwie to miałem układać tory. Przy wychodku chciałem zrobić stację końcową, a obok brzozy zwrotnice i obrotnicę. Jonte obiecał przyjść.

- Rozumiem. Nie musisz się decydować od razu. Zastanów się.

Ojciec uśmiecha się przyjaźnie i wystukuje tytoń z fajki o ławkę. Pu łapie biedronkę na palec. Ucisk w klatce piersiowej nie ustępuje.

- Pojechalibyśmy małym pociągiem towarowym, tym, który w niedzielę odjeżdża z Dufnas o dziewiątej. Ciągnie tylko wagony z drewnem i jeden wagon osobowy. Moglibyśmy kupić pommac na drogę.- Siedzą w odległości dwóch metrów od siebie. Paruje rosa, nad rzeką wisi smuga mgły, zapowiada się upalny dzień.

\*\*\*

A teraz o pewnym wydarzeniu z przyszłości. Jest rok 1968. Ojciec ma osiemdziesiąt dwa lata, od niedawna jest wdowcem. Zajmuje pięciopokojowe mieszkanie na Ostermalmie. Dom prowadzi siostra Edit. Diakonisa, pięćdziesiąt osiem lat, dorodna, kwitnąca kobiecością, o ciepłych ciemnobrązowych oczach i długich rzęsach. Ma szerokie, suche dłonie, jej wydatne usta chętnie się śmieją. Siostra Edit, jedna z pierwszych konfirmantek ojca, stała się przyjaciółką rodziny. Mówi wyrazistym dialektem z Halsinge.

Ojciec, ciężko dotknięty dziedziczną atrofią mięśni, chodził w butach ortopedycznych i używał laski; smukłe kształtne dłonie częściowo objął uwiąd. Między ojcem i siostrą Edit istniała milcząca, acz tkliwa więź. Wyraźnie dobrze się z sobą czuli.

Szedłem południowym wzniesieniem Grevturegatan. Przedwiośnie, śnieg z deszczem, ostry poblask topniejących zasp, byle jak posypany piaskiem oblodzony chodnik. Od roku ojciec i ja żyliśmy w pozornej zgodzie, okazując sobie życzliwe wzajemne zrozumienie. Nie znaczy to jednak, że oddawaliśmy się rozważaniom o przeszłości, komplikacjach, nieporozumieniach i nienawiści. Nie wspominaliśmy o trwających przeszło pokolenie niesnaskach. Nasze strapienia pozornie wyparowały. Nienawiść do ojca traktowałem jak rzadką chorobę, która nieskończenie dawno temu dopadła kogoś innego, nie mnie. Obecnie pomagałem ojcu w prowadzeniu finansów i administrowaniu - mało obciążające zajęcia. W każde sobotnie popołudnie na kilka godzin zaglądałem do niego i siostry Edit. O jednej z takich wizyt opowiem.

Winda ze skrzypiącą ostermalmską godnością zawiozła mnie na ostatnie piętro kamienicy. Dwa krótkie dzwonki. Siostra Edit otworzyła natychmiast i kładąc palec na ustach, szepnęła, że musimy zachować ciszę: ojciec przedłużył poobiedni wypoczynek o godzinę, miał ciężką noc, bóle biodra i pleców. Odszepnąłem, że w takim razie moglibyśmy porozmawiać trochę o interesach. Siostra Edit uznała to za dobry pomysł. Spytała, czego się napiję, kawy czy herbaty, właśnie upiekła scony. Nie, nie, dziękuję, byłem po lunchu z dyrektorami skandynawskich teatrów, nie, dziękuję. Ściągnąłem palto, mokre zimowe buty zamieniłem na parę ojcowych kapci i usiedliśmy w pokoju siostry Edit. Wychodził na ulicę; niezbyt duży, ale przytulnie umeblowany: jasne tapety, ładne stonowane obrazy i reprodukcje, lekkie zasłonki, dobrze wyposażona etażerka, dwuosobowa kanapka, fotel, zegar wahadłowy z wyszukаныmi girlandami. Na łóżku szydełkowa narzuta w żółtych barwach. Pod oknem białe biurko i dwa krzesła. Usiedliśmy przy biurku. Edit wyjęła skoroszyt i pokazała mi dla porządku kilka zapłaconych rachunków, wyciąg z konta i pismo od gospodarza domu informujące o podwyżce komornego od pierwszego lipca. Przeczytała je i westchnęła.

- Najgorsze, rozumie Ingmar, jest to, że Erik ciągle się martwi finansami. Nic nie pomagają moje zapewnienia, że dobrze się nam wiedzie.

- Porozmawiam z ojcem.

- Czy nie zechciałby Ingmar powiedzieć przy okazji Erikowi, że go nie zostawię i co najważniejsze, że Ingmar nie odda go na oddział dla przewlekle chorych.

- Aha. Ach, tak. Tak mówi?

- Myśli, że chcemy tego mieszkania.

- Mieszkania?

- Mówi czasem, że ja i Ingmar chcemy zająć to mieszkanie. I że to tylko kwestia czasu kiedy go wepchniemy do zakładu opieki nad przewlekle chorymi. Bardzo wtedy rozpacza i nic nie pomaga.

- A jak się Edit czuje?

- Dziękuję, dobrze. Martwię się, że ojciec Ingmara jest taki przygnębiony. I wyizolowany. I udręczony. A ja jestem przy nim i nic nie mogę zrobić. No i jeszcze to ze śmiercią.

- Ze śmiercią?

- Mówiąc szczerze, myślę, że ojciec Ingmara boi się. Nie mówi tego wprost, ale ja go przecież znam. Ponieważ nie chce pokazać po sobie, że się boi, nawet w tym jest. I brakuje mu cierpliwości, wyklóca się o drobiazgi. Ja się tym nie przejmuję, niech zrzędzi i gdera. Nie ma nic złego na myśli. Czasem, kiedy się trochę poawanturuje, zwłaszcza o jakieś głupstwo, przynosi mi kwiaty. Więc w sumie nie jest nam razem źle. Ale to ze śmiercią, to co innego. Tu nie mogę mu pomóc i nie rozumiem jego niepokoju. Jest przecież księdzem i powinien się zdać na miłosierdzie Jezusa. Myślę, że on utracił wiarę. Biedny Erik, wspierał tylu ludzi, mnie też, przede wszystkim mnie. Jego wiara była taka czysta i mocna, Ingmar dobrze o tym wie, czasami wydawało się, że jest nią przeświecony. Rok po śmierci Karin często rozmawialiśmy o cudzie ponownego połączenia. Był przekonany, że on i Karin spotkają się w innym świecie, oczyszczeni i przemienieni. Mówił o tym z najprawdziwszą radością, a ja myślałam sobie, że Bóg jest miłosierny, skoro daje staremu człowiekowi pewność zmartwychwstania. Sama już nie wiem, Ingmarze. Trochę teraz popłakuję, ale nie ma się czym przejmować. Tylko bardzo mi żal ojca Ingmara, to taki dobry człowiek. Dlaczego musi umierać za życia? To okrutne i nie widzę w tym sensu. Bardzo go lubię i naprawdę chciałabym zrobić wszystko, żeby w swoich ostatnich latach znalazł trochę spokoju i radości.

- Siostra Edit wydmuchała nos, trąbiąc lekko. Należała do tych nielicznych, którzy od płaczu ładnieją. Wytarła nos, osuszyła łzy i zaśmiała się.

- Ale jestem głupia, beczę jak smarkuła. Czy Ingmar na pewno nie napije się herbaty? Już czwarta. Chyba powinnam jednak obudzić proboszcza. Czy Ingmarowi się śpieszy? Chwileczkę! Zdaję się, że go słyszę. Tak, idzie. Aha, póki pamiętam. Mam kopię przelewu, który Ingmar załatwił, najlepiej, żeby Ingmar to wziął.

Siostra Edit poderwała się z wawo, widomy znak siły ducha i oczywistej radości. W korytarzu zadudniły kroki ojca. Wspierając się na lasce, stapał ciężko w swoich ortopedycznych butach. Zapukał, Edit zawołała "wejdz" i ojciec otworzył drzwi. Już miałem się podnieść, żeby do niego podejść, ale mnie powstrzymał. Stanąwszy w progu, obrzucił nas roztargnionym spojrzeniem. Rzadkie włosy zwichrzone, jedno ucho bordo. Wysłużona ciemnozielona bonżurka pachniała cygarami, żylastą dłoń zacisnął na główce laski.

- Chciałem się tylko dowiedzieć, czy Karin już wróciła - wymruczał, spoglądając to na Edit, to na mnie. Nie poznał nas. - Czy Karin już wróciła?

W tym momencie jego twarz się zmienia.

Z bolesną gwałtownością uświadomił sobie gdzie jest i co mu ofiarowuje rzeczywistość: Karin nie żyje, palnął głupstwo. Uśmiechnął się straszliwym uśmiechem: przepraszam, jeszcze się nie rozbudziłem. Dzień dobry, synu, możesz do mnie zajrzeć za chwilę?

Odwrócił się i poczłapał mrocznym korytarzem do swojego pokoju. Edit stała ze skoroszytem w dłoniach.

- To nic! Niech się Ingmar nie lęka. Erik myśli czasem, że Karin jest w pobliżu. A kiedy odkrywa swoją pomyłkę, smutnieje. Dlatego, że Karin nie żyje i - co może najgorsze - dlatego, że strzelił gafę. Pójdę do niego. Ingmar może przyjść za kwadrans.

\*\*\*

Ojciec pochyła się nad Pu, chyba zasypiasz? Nie położysz się? Jest dopiero piąta. Pośpisz jeszcze co najmniej trzy godziny. Pu nic nie mówi, tylko kręci głową: nie, dziękuję, chcę siedzieć tutaj i patrzeć na słońce. Chcę tu siedzieć z ojcem. Chcę ojca pilnować, żeby nie czmychnął. Jestem śpiący i smutny. Nie będę się kładł, żeby wachać poranne pierdniecia braciszka, zresztą ile razy walczyliśmy na baki, zawsze przegrywam. Pu ziewa potężnie i zasypia równie nagle, jak nagle gaśnie zdmuchnięta wiatrem świeczka.

Broda na piersiach, dłonie na deskach ławki. Cienkie włosy sterczą na karku, słońce pali w policzek. Ojciec siedzi nieruchomo i patrzy na syna. Fajka zgasła.

We śnie Pu wędruje przez las, zna go i nie zna zarazem. Szemrze strumyk. Nad głową migocą słoneczne strzały. Idzie w dusznym cieniu. Cały czas przed siebie, choć wcale tego nie chce. W końcu się zatrzymuje i rozgląda, tak, to na pewno miejsce samobójstwa. Nie musi długo czekać. Cisza, słychać tylko szum strumyka, mrówki bezgłośnie przebiegają mrowisko i leśne ścieżki. Nie ma już słońca, dokoła siwy półmrok i mimo chłodu przytłaczający upał. Pu marznie. Kuca. Za podwójną sosną ktoś łązi, Pu widzi plecy zega

rmistrza. Rozpostarte ramiona, na brudny kołnierzyk spływają kosmyki cienkich włosów. Zegarmistrz odwraca się i patrzy na Pu wyłupiastymi oczami bez źrenic, obwisłe usta czernią się od zakrzepłej krwi, ledwo widać jasne brwi, wysokie szare czoło znaczą plamy. Nie, to nieprawda, nie chcę tego oglądać, nie mogę ani płakać, ani uciec, żeby się ukazać, zegarmistrz odebrał mi wszystkie siły, gdzie ja to słyszałem, może od Lalli: duchy czerpią siły z żyjących i dlatego człowiek sztywnieje, wpadłem, czuję się tak, jakbym się za chwilę miał udusić. Pu mówi coś, szcękając zębami: przepraszam, ja właściwie nie chciałem tutaj przyjść, tylko coś we mnie, coś niedobrego. Nie pamiętam, jak tu trafiłem - a jeśli ja śnię? A jeśli, co jeszcze okropniejsze, nigdy się z tego snu nie obudzę?

Niepokój narasta gorącym płomieniem, całe ciało Pu przenika nieopanowany ból. Zegarmistrz zwrócił ku niemu twarz. Gałązka przesłania sylwetkę. Duch kołysze się i wydyma, choć nie ma wiatru. Niedzielne dziecko, dzień Przemienienia Pańskiego. Tak, trzeba zapytać. I Pu pyta. Nie otrzymawszy odpowiedzi, powtarza pytanie: Kiedy umrę? Zegarmistrz namyśla się, a Pu ma wrażenie, że coś słyszy, krwawe usta i zeszywniałe wargi szepcą niewyraźnie, mgliście: Zawsze. Odpowiedź brzmi: zawsze.

Las drży od słabego podmuchu, gdzieś krzyczy kawka. Zegarmistrz faluje z wiatrem, głowa frunie znad szyi i ramion, podpływa do Pu, a Pu zastanawia się, czy wybiła jego ostatnia godzina, zastanawia się, czy głowa wgrzyzie się zębami w jego gołe ramiona czy w kolano. Na rozkładającej się twarzy pozostał złośliwy wyraz. Powraca wiatr, głowa rzędzie, oczy wiszą jeszcze chwilę pod gałęziami sosny i gasną, niknie cały duch, ziemia pochłania ramiona, najpierw prawe, rozwarłe dłonie gubią czarne paznokcie, spadają niczym zgniłe niedojrzałe jabłka. Zegarmistrz gniew się, Pu widzi na jego szyi czerwoną pręgę po sznurze i odłamki wystających kości. Wszystko odbywa się błyskawicznie, po zegarmistrzu zostaje tylko zapach pleśni, taki sam, jaki czai się pod linoleum w pokoju dzieciennym.

Pu z wysiłkiem wydobywa się ze snu i szeroko otwiera oczy, żeby drugi świat znów go nie wchłonął. Ojciec nabija fajkę. Obok siedzi Marianne, wróciła znad rzeki, kąpała się. Krótkie ciemne włosy oblepiają głowę, twarz wystawiła do słońca. Ma na sobie długie spodnie i koszulkę, pod którą odznaczają się piersi. Jest boso. Ojciec mówi, że niedługo siódma i pora się ogolić. Marianne z zachwytem opowiada o kąpieli przy tratwie. Było cudownie, chociaż drewno pokonało łańcuch i spięrzyło się w przybrzeżnym szlamie, wkoło żywego ducha, można się kąpać nago. W wodzie tylko dwanaście, trzynaście stopni, podobno rzeka jest wyjątkowo zimna w tym roku. Nie ma to jak archipelag, wzdycha ojciec i zapala fajkę. Tam się nie brodzi w szlamie.

- Czy Pu pojedzie do Granas?

- Nie wiem. Pytałem, ale nie przejawiał zbytniego entuzjazmu.

- Ja mogę pojechać - proponuje Marianne.

- A nie powinnaś dotrzymać towarzystwa Karin?

- Chętnie się wybiorę na rowerową przejażdżkę.

- Aha.

Ojciec poważnie kiwa głową.

- Z tobą.

- Pu się ucieszy.

- Moglibyśmy pojechać we troje.

- Ma budować tory kolejowe od wygodki do przymy piasku. Jonte będzie mu pomagał.

- No, co o tym myślisz? Jak chcesz? - pyta Marianne.

- Byłoby miło - przyznaje z wahaniem ojciec.

Pu przeciąga się i ziewa.

- Pojadę do Granas - oświadcza stanowczo.

Ojciec i Marianne przyglądają mu się z pewnym zaskoczeniem, aha, nie śpisz, a to dopiero. Tak, nie śpię, ale zaraz się położę. A do Granas pojadę. Wstaje, z na wpół przymkniętymi oczami truchta za węgiel, wdrapuje się po schodkach do pokoju, zrzuca ubranie i sandały, wali się na jęczące łóżko i wwierca głowę w poduszkę. Śpi, nim zasnął.

\*\*\*

Jest za dziesięć ósma. Maj mocno nim potrząsa. Dag, który już się ubrał, przyniósł z pokoju matki karafkę i leje brata wodą. Przestań, wrzeszczy Pu, ale Dag tylko się śmieje. Do jasnej cholery! Pu broni się. Dag odskakuje, po czym ciska w braciszka sandałem. Maj wkracza do akcji, zanim konflikt przybierze rozmiary bratobójcze.

Pu czekają dalsze szykany. Maj zmusza go do umycia zębów, wyszorowania uszu, wyczyszczenia i obcięcia paznokci. Na dokładkę musi włożyć czyste ubranie: drapiący podkoszulek, za długą koszulę i kalessony. Cholera, warczy Dag, zawsze zalatuje od ciebie szczyną, nie rozpinasz rozporaka, kiedy lejesz? Z garderoby wyjmuje się niedzielne spodenki: ciemnoniebieskie o sztywnych kantach, z idiotycznymi szelkami. Pu protestuje, ale Maj jest nieugięta, gotowa w razie potrzeby użyć siły. Wytrzymaj nos! - rozkazuje podtykając Pu czystą chusteczkę. Dlaczego ty masz zawsze tyle smarków?

- Bo nie wyjmuję palca z nosa - mówi Dag, świadek tego upokarzającego ubierania. - Jak coś znajdziesz, to się podzielimy, nie?

Dag z łoskotem zbiega po schodach. Pu siada na łóżku i ogarnia go ołowiana senność. Maj wychodzi z garderoby. A to co? Źle się czuję mruży Pu. Poczujesz się lepiej, jak się najesz, no, chodź już!

Kiszki skręcają się i trzęsą, twardey balas napiera na odbył, chce się wydostać. Muszę zrobić kupe, mówi zrozpaczony Pu, to absolutnie konieczne. Nie teraz, po śniadaniu, decyduje Maj. Nie wytrzymam, muszę teraz. Pu jest bliski łez. No to się pośpiesz! Leć do wychodka. Kiedy ja muszę teraz, zaraz. Rób do wiadra. Maj przysuwa nogą emaliowane wiadro, do połowy wypełnione brudną wodą po myciu. Pomaga Pu zdjąć szelki, ściąga mu spodenki i kalessony. W ostatniej chwili. Cholernie boli mnie brzuch, jak wszyscy diabli, jęczy Pu. Maj przysiadła na krawędzi łóżka i trzyma go za rękę. Za kilka minut będzie już dobrze.

Na schodach grzmi głos Marty: Jest tam Pu?! Czas na śniadanie. Czy jest tam Pu?! Halo! Maj! Pu boli brzuch, odkrzykuje Maj, nie puszczając jego dłoni. Przyjdziemy, kiedy przyjdziemy.



Marta przekazuje słowa Maj matce. Pu boli brzuch. Obie stoją na schodach. Czy bardzo go boli? - dopytuje matka. Nie, skąd, niedługo będziemy gotowi, uspokaja Maj. W jadalnym gwarno, brzęk porcelany i sztućców. No to przychodźcie, rzuca na odchodnym matka.

Pot rosi czoło Pu, mimo opalenizny jest blady. Oczy zapadły głęboko, wargi są suche. Maj gładzi go po czole. No, gorączki nie masz, właściwie nic ci nie jest, prawda? Do licha, ale cuchnie! Może coś zjadłeś? Pu kręci głową i wstrząsa nim jeszcze jedna fala skurczów. Pochyla się. Cholerne pieprzone gówno. Kurwa mać. Psiakrew. Martwisz się czymś? - pyta Maj. Co? Pu rozdziawia usta. Skurcze ustają. Przejmujesz się czymś? Nie. Boisz się czegoś? Nie.

Atak minął, Pu wracają kolory, normalnie oddech. Muszę się czymś podtrzeć. Weźmy papier z twojego bloku rysunkowego, proponuje Maj. Nie, za gruby. To może czerwoną bibułkę? Nie, za nic, protestuje Pu, to bibułka Dagge, owija nią swój samolot, zabije mnie, jak ją ruszę. Już wiem, Maj jest zdecydowana, myjka. Nie ma rady. Potem ją upiorę. Podnieś tyłek, Pu.

- O, tak, no i co, przyjemnie?

\*\*\*

Śniadaniu towarzyszy sceneria podobna do tej podczas obiadu. Jedyne stroje są nieco sztywniejsze, bardziej uroczyste, jest przecież niedziela, niedziela dwudziestego dziewiątego lipca, dzień Przemienienia Pańskiego. Na stole biały obrus zastąpiła odświętna cerata w żółty deseń. Pod żyrandolem pyszną się w miedzianym naczyniu polne kwiaty.

Niedziela, ósma rano. W rodzinie Bergmanów panują karolińskie obyczaje. W dni powszednie śniadanie spożywa się o wpół do ósmej, w niedziele pół godziny później; niewielkie ustępstwo na rzecz porannego lenistwa mamy.

Ojciec chętnie zrywa się o świcie. To ranny ptaszek. Zdążył się wykapać w rzece, ogolić i nauczyć kazania. Jest niemal podniecony przed czekającą go wycieczką. Pu zamiast owsianki dostaje talerz ciepłego kleiku. Pachnący łagodny kleik i kromka białego chleba z serem. Dzieło Lalli. Nikt nie ma odwagi pisać słowa, mimo że zdaniem obojga rodziców, i nie tylko, kleik dowodnie świadczy o rozpieszczaniu, a wszelkie formy rozpieszczania stanowią źródło złych nawyków. I krzewią je. Nikt jednak nie oponuje przeciwko kleikowi Lalli, ani matka, ani ojciec, nikt. Pu je zachłannie, całkiem zadowolony. Męki ustąpiły miłemu odrętwieniu, kleik Lalli zapełnia dokuczliwą próżnię, rozgrzewa żołądek wychłodzony niedawną kolką.

Drzwi do przedpokoju i na schody są otwarte na oścież. W ostrym słonecznym świetle połyskuje piasek na podwórku.

- Zapowiada się ciepły dzień - mówi matka. - Zastanawiam się, czy nie będzie burzy.

I każdy zgłasza swoje uwagi o burzy. Ciotka Emma nie ma wątpliwości, od wielu dni czuje burzę w kolanach. Lalla mówi o mleku w piwnicy, które po raz pierwszy tego lata się zwarzyło.

Marta oddycha z trudem, pod oczami czerwone plamy, pot na górnej wardze, pewnie ma gorączkę. Ojciec radośnie stwierdza, że mała burza nie zawadzi, chłopci czekają na deszcz. W czasie deszczu dobrze biorą ryby, ze złośliwym uśmiechem wtrąca Dag. Ciekawe, jak to zniesie mój biedny braciszek? Przecież potwornie boi się burzy.

I paplanina trwa... "Gdy rozmawiamy, przemija życie", powiada Czechow. Całkiem możliwe. Drzwi prowadzące na schody przesłania nagle krągłą, lekko rozkołysaną postać. W progu, z walizką w ręku, stoi wuj Carl. I uśmiecha się, zażenowany. Cześć, Carl! - woła ojciec. Wchodź, coś przekąsisz i łykniesz jednego! Wyglądasz mi na takiego, co sprzedał masło i zgubił pieniądze! Chodź, siadaj, mój drogi, włącza się matka. W jej głosie nie ma jednak ojcowej serdeczności. Czy coś się stało? Dlaczego jesteś z walizką? Nakrywać? - pyta Marta, podnosząc się z krzesła. Nie, nie, dziękuję, proszę się nie trudzić, mruczy Carl i ociera pot z twarzy brudną chustką do nosa. Mógłbym na chwilę usiąść?

Nie czekając na odpowiedź, obchodzi jadalny, kłania się na wszystkie strony i opada na kanapę pod oknem. Ojciec bierze z kredensu kieliszek i butelkę: poczęstuj się, braciszku! Carl opróżnia kieliszek jednym haustem, pince-nez potnieje. Dziękuję, Eriku, bardzo ci dziękuję, prawdziwy z ciebie chrześcijanin, który lituje się nad najnędzniejszym z nędznych.

- Czy coś się stało?

Matka powtarza pytanie i patrzy surowo na przyrodniego brata. Carl przeciera pince-nez. Wydaje się zaleźniony. Wreszcie uśmiecha się niepewnie.

- Stało i stało! Bez przerwy coś się dzieje, nieprawdaż? Jak powiada Pismo Święte, jest czas rozrzucania kamieni i czas zbierania kamieni.

- Ale wyjeżdżasz? - dopytuje wesoło ojciec.

- W każdym razie zamierzam się przenieść.

- Przenieść? Dokąd się przeniesiesz, jeśli wolno spytać?

W głosie matki pobrzmiewa chłód.

- Jeszcze nie wiem. Najważniejsze to zachować godność.

- Co się stało?!

Po raz trzeci. Teraz w głosie matki więcej niepokoju niż surowości. Carl wkłada szkło na nos i wierci się. Wszyscy przyglądają mu się z uwagą.

- Wołałbym porozmawiać o tym z Erikiem. To, co mam do powiedzenia, nie nadaje się dla dzieci i osesków.

- No więc zostań tu i odpocznij. Pogadamy wieczorem - pospiesznie decyduje ojciec, nawet spojrzeniem nie pytając o zgodę matki. - Teraz nie mam zbyt wiele czasu. Jadę z Pu do Granas, z kazaniem. Ale na pewno będziemy na obiedzie w Varoms.

Jasnoniebieskie oczy wuja Carla wypełniają się łzami. Raz po raz kiwa głową, przystając na taki układ.

- Równy z ciebie gość, Eriku!

Na znak matki wszyscy wstają i odmawiają modlitwę: Dziękuję ci Boże za jedzenie, amen. Odjazd za kwadrans dziewiąta! - obwieszcza ojciec, sięgając do kieszonki kamizelki i zerkając na złoty, nakręcany małym kluczykiem zegarek na łańcuszku. Punktualnie! A potem odwraca się do wuja Carla: Jeśli chcesz u nas zostać parę dni, nie ma problemu. Trochę się ścieśnimy. Prawda, Karin? Matka w odpowiedzi kręci głową i wychodzi do kuchni z półmiskiem kaszy.

\*\*\*

- Chcesz zarobić dwadzieścia pięć ore? - pyta Dag, przyjaźnie szczerząc zęby.

Trzyma rękę za plecami. Stoją przy kuchennych schodkach, gdzie Pu, mimo zakazu, przed chwilą sikał.

- Chcę.

- Aha. Tu jest dwudziestopięciokoronówka.

Dag kładzie monetę na schodkach. Jest dziwnie podniecony.

- Co mam zrobić?

- Zeżreć robaka.

- Co?

- Zamknij dziób, bo wyglądasz jak przyglup.

- Mam zeżreć tego robaka?

Dag macha przed nosem Pu wijącą się przynętą na ryby.

- Za nic!

- A gdybym ci dał pięćdziesiąt ore?

- Nie. W życiu!

- Siedemdziesiąt pięć ore, Pu! To cholernie dużo pieniędzy.

Na schodki wybiegł pudel Sudd; oblizuje pysk po śniadaniu. Obludnie merda ogonem do swojego boga, a Pu, swego antagonistę, obrzuca drwiącym spojrzeniem.

- Dlaczego chcesz, żebym zjadł robaka? Przecież to obrzydliwe.

- Chłopcy wyznaczyli mi zadanie specjalne. Mam sprawdzić twoją odwagę.

- Co takiego? Co?!

- Jeśli wykażesz się odwagą, przyjmimy cię do naszego tajnego związku, a na dokładkę zarobisz siedemdziesiąt pięć ore.

- Koronę.

- Zwariowałeś? Koronę? Za koronę musiałbyś zeżreć co najmniej jeden balas ciotki Emmy.

- A masz siedemdziesiąt pięć ore? - pyta nieufnie Pu.

- Zaraz zobaczysz. Proszę! Trzy lśniące dwudziestki. I robak. No?

- Mogę zjeść pół.

- Nie bredź! Zjadasz całego albo nic. Tak myślałem. Śmierzący tchórz! Nigdy nie będziesz w naszym związku, prawda,

Sudd?

Dag odwraca się do Sudda. Pudel rozdziawia pysk i wywala jęzor. Najwyraźniej śmieje się szyderczo.

- Dawaj tu tego cholernego robaka - mówi Pu, żądny pieniędzy i wściekły.

Wkłada całego robaka do ust i gryzie, gryzie, gryzie. Oczy wypełniają się łzami. Gryzie. Robak wierci się i wije pod językiem, próbuje się wysliznąć kącikiem ust, ale Pu wsuwa go z powrotem. I połyka, połyka. Gwałtownie protestuje żołądek, Pu zwalcza odruch wymiotny.

- Już - mówi.

- Otwórz usta, muszę skontrolować.

Pu otwiera usta. Brat kontroluje. Długo. A potem każe mu zamknąć usta, żeby robak nie wylazł. Zabiera swoje trzy dwudziestki i wabi Sudda.

- Co do cholery?! - krzyczy Pu.

Dag patrzy na brata z rezygnacją: Chłopaki i ja chcieliśmy sprawdzić poziom twojej głupoty. Jeśli za siedemdziesiąt pięć ore zjesz przynętę na ryby, to jesteś za głupi, żebyśmy cię mogli przyjąć, a już na pewno za głupi, żeby zarobić siedemdziesiąt pięć ore.

Pu rzuca się na brata. Obrywa w przepoń, przy okazji Sudd szarpie go za nogawkę. Traci oddech i siada na kuchennych schodkach. Dag z Suddem, radośnie się drocząc, odchodzą. Na podwórku spotykają Marianne. Pu nie słyszy, co mówią, ma wrażenie, że planują coś miłego. Zмага się z robakiem. Wyrzygać? Wsadzić palce głęboko do gardła? Nie, nie zrobi bratu tej przyjemności. Przez chwilę życie wydaje mu się gównem. W brzuchu robał i jeszcze msza w Granas! Pu kuli się na schodkach, nikt nie czuje się paskudniej niż ja.

W altance ojciec z wujem Carlem. Pali fajkę. Wuj został poczęstowany cygarem i drugą wódką. Mówi bez przerwy, ojciec uśmiecha się zachęcająco. Skąd ta nagła sympatia do wuja Carla? Patrzy teraz na zegarek i prawdopodobnie oznajmia, że musi się już zbierać, jeśli on i Pu chcą zdążyć na towarowy, który zwłaszcza w niedziele bywa bardzo punktualny. Wstaje i poklepuje wuja po ramieniu. Na schodach pojawia się matka. Woła Pu. Trzyma w ręku zieloną walizkę ojca. Dag wyprowadza rower i walizka ląduje na tylnym bagażniku. Przedni jest zarezerwowany dla Pu. Marianne wsuwa w wylóg ojcowej marynarki bukiet kampanuli. Nadbiega Marta ze swoim skrzynkowym aparatem, fotografuje często i chętnie. Ciotka Emma odwiedziła po śniadaniu wychodek, drepcze teraz ścieżką, kołysząc się jak kaczka. Pod pachą egzemplarz "Gefle Dagblad". Z kuchni wyłania się Lalla, niesie prowiant na drogę, który zostaje wcisnięty do walizki. Nie bez dyskusji. Są w niej sztywny kołnierzyk ojca, czysta biała koszula, surdut i tekst kazania. A jeśli butelka z mlekiem trzaśnie? I zniszczy surdut i kazanie? Położymy ją na dnie, a ubrania na wierzchu. Nie, lepiej zrezygnować z mleka: u proboszcza będzie przecież kawa, Pu zgodnie z ojcową obietnicą dostanie pommac, kupią go w drodze powrotnej.

Marta chce robić zdjęcia, matka też powinna na nich być, kiedy żegna się z ojcem, ale matka się wzbrania, nie, dziękuję, niech podróżnicy pozują sami. W końcu pstryka jedną fotkę: ojciec, nieco sztywny, ścisną wysoko podniesioną kierownicę. Na głowie kapelusz, jest w letniej marynarce i czarnych spodniach do mszy, bo nie zmieściły się w walizce; nogawki spięte klamerkami. Biała koszula bez kołnierzyka i buty dopełniają stroju. Pu prócz opisanego wcześniej ubrania ma ciut za duży biały lniany kapelusz, który opiera się na odstających uszach. Twarz w półcieniu. Siedzi na bagażniku. Nogi rozstawione.

Wszyscy mówią jeden przez drugiego, życzą im przyjemnej podróży, matka informuje, że babcia przesunęła obiad aż o godzinę, więc nie mogą się spóźnić. Zdaniem ciotki Emmy będzie burza, tak, z całą pewnością będzie burza.

Hen za wrzosowiskami, nad odległymi górami wiszą czarne chmury, kilka białych obłoków wysuwa wiotkie palce ku środkowi nieboskłonu. To według ciotki Emmy zwiastun burzy. Matka daje Pu całusa i co najmniej dwa razy powtarza, żeby uważał i nie wetknął stóp w szprychy przedniego koła. Wuj Carl, z altanki, macha na pożegnanie cygarem: Udanego połowu dusz, szanowny bracie! Dag uczepił się Marianne, Daga uczepił się Sudd. Maj ścieli łóżko w pokoju matki. Odsuwa sutą firankę w jedynym otwierającym się oknie na piętrze, woła do Pu i macha ręką. Pu niemrawo odmachuje. Niedzielna sukienka Maj ma kwadratowy dekolt, kiedy pochyla się, Pu widzi jej piersi. Świeżo umyte rudawe włosy wymknęły się warkoczowi, niby płomienie okalają jej piegowatą, miłą buzię.

#### IV

Ojciec zaczyna od karkołomnego zjazdu. Jest wprawnym, a zarazem brawurowym cyklistą. Wąskie i strome zbocze wiodące z przybytku Dahlbergów pełne jest wybojów i kamieni.

Na gościńcu ojciec zaczyna pedałować: psiakość, co za upał, mówi, zdejmując kapelusz. Pilnuj go, Pu.

Pociąg towarowy już stoi na stacji i lokomotywka przetokowa ma co robić: wagony wysoko załadowane dłużycą pojedą do tartaku w Gimán, puste trafią do składu spławnego drewna w Insjon, a trzy wagony pachnących, świeżo ściętych pni zostaną w Dufnas, by posłużyć za budulec dla nowej siedziby rzeczników abstynencji. Hamulcowi wygramolili się ze swoich ciasnych kabin i snują się po peronie, jeden popija kanapkę piwem z butelki, drugi kurzy fajkę, jakiś kolejarz gania między zwrotnicami przy moście, mała lokomotywa cofa się i znowu pcha, dwóch mężczyzn haruje w pocie czoła przy sprzęgłach, dzwonią bufory i solidne żelazne haki. Słońce stoi dokładnie nad zakolem rzeki.

Ojciec i Pu wchodzi do biura i witają się z wujkiem Ericssonem. O, widzę, że pastor wybiera się gdzieś z synem w niedzielę? Tak, do Granas, z kazaniem, wyjaśnia ojciec. To najpierw pociągiem do Djuras, a stamtąd rowerem, prawda? Wujek Ericsson wyciąga z szafki biletovej mały brązowy kartonik i stempluje go w specjalnym aparacie. Czy muszę nadać rower na bagaż? - pyta ojciec. Nie, można go wziąć do przedziału. W niedzielę nie ma tu podróżnych, wsiadają dopiero w Leksandzie, nie wcześniej.

Z piętra schodzi pani Ericsson. Szyja silnie zdeformowana, zeszpecona powiększoną tarczycą, oczy wyskakują z oczodołów. Uśmiecha się bezzębnie i serdecznie. W rękę filiżanka kawy: Pomyślałam, że pastor chętnie się napije, z orsańska mówi pani Ericsson. A Punio miałby może ochotę na cukierka? Wyjmuje z kieszeni fartucha lepką tutkę i częstuje Pu biało-czerwoną laseczką miętową własnej roboty. Pu kłania się i dziękuje. Jak się pani Ericsson miewa? Ojciec patrzy prosto w wylupiaste oczy kobiety. Nie najlepiej, pastorze. Nocami męczą mnie duszności, w zeszłym tygodniu byłam w szpitalu w Falun. Doktor powiedział, że powinnam być operowana i chciał pobrać kawałek tarczycy. Sama nie wiem. . . duszenie się jest straszne, ale przecież codziennie jem sól jodową, tyle że nic mi nie pomaga, czuję się coraz gorzej. I wyglądam okropnie. Zeszłego lata wola nie było widać, wyrosło takie zimą, wtedy, kiedy miałam gruźlicę i straciłam... no, sam pastor wie, nie jest najlepiej, a w pokojach na górze duchota, w sypialnym słońce po południu, czasem znoszę materac do poczekalni i tam śpię. Ma okna od północy, zawsze trochę chłodniej. Był tu raz inspektor, zobaczył materac i kategorycznie zakazał mi noclegów w poczekalni, że to niby zabronione, ale Ericsson mu odpalił, że ma to w dupie, jak inspektor chce, niech nas zaskarzy, proszę bardzo. No i wtedy się zmył.

Pu wdrapał się na okno, bardziej go interesują poczynania lokomotywy przetokowej niż wole pani Ericsson. Ssąc cukierka, obserwuje dwa wagony z dłużycą. Parowozik dał im lekkiego kuksańca i toczą się teraz grzecznie na tor przetokowy, ten najbliższy budynku stacji. Jeden z mężczyzn położył klocek zaporowy, wagony zatrzymują się, przez chwilę przesuwają się to w przód, to w tył, jakby były żywe, i nieruchomieją.

- Skończyli! - woła Pu i złazi z parapetu. - Już są gotowi!

Chce wyjść, podróż, choć krótka, ekscytuje. A więc jedziemy, pastorze. Wujek Ericsson wkłada kolejarską czapkę i bierze czerwoną chorągiewkę z okrągłą zieloną płytką na drzewcu. Wystarczy dać nią znak i już wiadomo, że pociąg gotów do odjazdu. Ojciec dopija kawę, aż do fusów, dziękuje i wyciąga rękę na pożegnanie: Porozmawiam o chorobie pani Ericsson z profesorem Forssellem, to mój dobry przyjaciel, może coś poradzi.

- Bardzo dziękuję, ale niech pastor nie robi sobie kłopotu.

Hamulcowy pomaga wnieść rower i walizkę do małego wagonu osobowego, który znajduje się na końcu składu. Wagon jest szarozielony, sterany wiekiem, z drzwiami po bokach. Wyposażenie spartańskie: dwanaście drewnianych ławek ustawionych naprzeciwko siebie, sześć po lewej stronie i sześć po prawej. Przy co drugiej stoi spluwaczka, na podłodze zniszczone brązowe linoleum, przy krótszej ścianie żelazny piecyk. Małe okna opuszczone, to przecież lato. Dwa szklane klosze na suficie kryją gazowe lampy. W całym wagonie pachnie pokostowanym drewnem i żelazem.

Pu wisi w oknie, jest podniecony, będzie jechał pociągiem, za kilka sekund wujek Ericsson da znak, lokomotywa wypłuje czarną chmurę i wagon potoczy się po torach. Ojciec znalazł gazetę, to "Borlange-Posten", i studiuje "Publiczne ogłoszenia": Jutro, w niedzielę, o godzinie jedenastej w kościele w Granas w zespole parafii Gagnef wygłosi kazanie pastor Erik Bergman ze Sztokholmu. Podczas nabożeństwa będzie udzielana Święta Komunia Pańska.

Pociąg ciągle stoi. Pu wychyla się niebezpiecznie przez okno, chce poznać przyczynę. Wujek Ericsson czyta jakieś papiery, kolejarz coś mu wyjaśnia i pokazuje. Lokomotywa wzdycha, jakby się uskarżała na dokuczliwe ciepło i czekające ją wzniesienia. Za zasłonką na piętrze budynku stacji majaczy zniekształcona twarz pani Ericsson.

Słychać głosy. Pu odwraca głowę. Szybkim krokiem maszerują Marianne, Dag i wuj Carl. Mają wędki, Dag niesie słoik z perforowaną zakrętką i rączką. W środku są robaki. Wuj Carl zarzucił na plecy worek z prowiantem.

- Hej! - woła Marianne. - Jeszcze nie pojechaliście?

- Dokąd się wybieracie? - pyta ojciec, stając obok Pu w małym oknie.

- Do Kallbacken, na ryby - trąbi wuj Carl. - Lada chwila wpadnie Ma, więc siostrzyczka Karin zarządziła wycieczkę. Uznała, że będzie lepiej, jeśli sama porozmawia z Ma. Nie miałem nic przeciwko temu.

W końcu pociąg towarowy rusza ciężko, zgrzyta, bucha dymem. Wszyscy machają. Pu dostrzega w przelocie, że Marianne kładzie dłoń na ramieniu Daga. Dag uśmiecha się, zachwycony, i energicznie macha bratu na pożegnanie. Szybko giną z pola widzenia, pociąg nabiera pędu, twarz Pu smaga pachnące ostro węglem powietrze.

Na zakręcie, pod górą, lokomotywa daje sygnał, wagonem rzuca, koła dudnią na złączach. Minąwszy rzekę, zanurzają się w las. Lokomotywa z trudem pnie się po zboczu, drewniany

wagonik trzeszczy i podskakuje. Siadaj, mówi ojciec. Nie możesz wisieć za oknem, to niebezpieczne. Chwyta Pu za szelki i odciąga od okna.

Ojciec i syn siedzą naprzeciw siebie, ojciec czyta gazetę.

- Ojczu?

Ojciec składa gazetę.

- Tak?

- Co to jest "historia"?

- To opowieść o przeszłości.

- Wobec tego śmierć dziadka jest historią.

- Istnieją różne odmiany historii. Jest wielka historia, traktująca o wojnach, królach, całych narodach, i jest mała historia, historia życia rodzinnego. I w tym sensie śmierć dziadka to też historia.

Ojciec siedzi pochylony, z łokciami na udach, splótł dłonie. Bacznie przygląda się synowi. Ilekroć z kimś rozmawia, ktokolwiek by to był, zawsze patrzy mu prosto w oczy i zawsze uważnie słucha.

- Ojciec nie lubi być z nami w Dufnas?

- Nie przepadam za Dufnas, ot co. Lubię twoją matkę i swoje dzieci, ale Dufnas nie.

- Dlaczego ojcu się nie podoba Dufnas?

Bo czuję się tam zamknięty, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. - Nie.

- Nie mogę o sobie decydować.

- Czy to babcia decyduje?

- Można tak powiedzieć.

- I dlatego ojciec nienawidzi babci.

- Nienawidzę?

Ojciec uśmiecha się lekko, kącikami ust, i patrzy na swoje splecione dłonie.

- Dag twierdzi, że ojciec i babcia się nienawidzą.

- Babcia i ja inaczej myślimy o wielu sprawach. Tak, niemal o wszystkim. I to nas denerwuje. Chyba rozumiesz.



- Tak.

- Czasem jest bardzo ciężko. Zwłaszcza latem. Wtedy musimy mieszkać blisko siebie i łatwo o nieprzyjemności. Lepiej jest zimą, kiedy babcia mieszka w Uppsali, a my w Sztokholmie.

- Lubię babcie.

- To dobrze. Babcia lubi ciebie, a ty lubisz babcie. I tak powinno być.

- Czy ojciec by się cieszył, gdyby babcia umarła?

- Teraz się zagalopowałeś. Dlaczego miałbym się cieszyć? Po pierwsze wiem, że tobie, matce, Dagowi i wielu, wielu ludziom byłoby smutno, a po drugie nie miewa się takich myśli.

Pu medytuje. To i wyczerpujące, i ważne. Poza tym rzadko się zdarza, żeby ojciec znalazł czas na rozmowy. Musi skorzystać z okazji.

- Aha - mówi, zmartwiony. - A ja bardzo bym chciał, żeby mnóstwo ludzi umarło i stało się historią! Ciotka Emma i Dag, i . . .

- To zupełnie co innego - przerywa ojciec. - Nie zastanawiasz się nad tym, co to jest śmierć. Dlatego szastasz takimi życzeniami. W rzeczywistości nic one nie znaczą.

- Ile razy pomyślę, że matka nie żyje, jest mi smutno.

- A czy nie pragniesz czasami śmierci swojego ojca? Kiedy na przykład jesteś zły.

Ojciec śmieje się, śmieją się jego oczy, w głosie nie słychać groźnych tonów. A zatem to prawdziwa rozmowa, myśli Pu. Dotychczas rozmowy albo dyskusje zwykł był wieść tylko z babcie. W Uppsali, gdy spędzał u niej ferie świąteczne. Matka i ojciec nigdy nie mieli na to czasu.

- Nie, ani razu nie pragnęłam ojca śmierci - kłamie Pu z uczciwą miną.

Ojciec klepie go w policzek, uśmiech nie schodzi mu z twarzy.

- Przepraszam cię, Pu, ale czasem zadajesz naprawdę głupie pytania.

Pu rezolutnie kiwa głową i odwzajemnia uśmiech.

Pociąg hamuje, jazgot na całego, zgrzyty, grzechoty, rżężenia. Las otwiera się na grań, na stromych zboczach przycupnęły wiejskie zagrody. Ojciec poklepuje Pu po kolanie: dojeżdżamy, nie zapomnij swojego kapelusza i zajmij się moim.

Pociąg zatrzymuje się w Djuras; rozeschnięty drewniany peron, szosa przecinająca tory, żadnych bocznic ani semafora. Z budki dróżnika gramoli się gruba kobieta, żeby się stamtąd wydostać, musi się przeciskać bokiem. Wita pastora, pomaga mu się uporać z rowerem i walizką. Upał taki, że siekierę można powiesić, na stoku ryczy krowa. Ze swojej kabiny

wychyla się maszynista, oddaje honory ojcu i synowi. Dróżniczka sygnalizuje, że wszystko gotowe, i pociąg rusza w dół, ku Sifferbo, nie dymi, nie sapie, nie stukocze.

- Filiżankę kawy? - zaprasza grubaska.

- Nie, dziękuję, pani Brogren. Już jesteśmy spóźnieni.

- Krew mnie zalewa, że nie będę w kościele, ale Olsson leży w szpitalu i muszę tu sterczeć w piątek i świątek. A może kropelkę soku dla syna?

- Nie, dziękuję - grzecznie odpowiada Pu.

- No to życzę szczęścia w podróży.

- Dziękuję, pani Brogren, i proszę pozdrowić pana Olssona.

- Czy pastor myśli, że Bóg nas pokarze?

- Dlaczego Bóg miałby was pokarać?

- Ano dlatego, że żyjemy w grzechu. Tak powiedział prezes związku misyjnego. Jakiś miesiąc temu strasznie na nas pomstował, a następnego dnia Olsson włożył na zardzewiałe gwoździe, dostał zakażenia krwi i wyładował w szpitalu. Myśli pastor, że to kara boska?

Ojciec trzyma kierownicę obiema rękami. O pośpiechu nie ma już mowy, przepadł jak zdmuchnięty. Ojciec nie patrzy na panią Brogren, która stoi z zatroskaną miną i wzdycha. Patrzy na rzekę i pożar słońca w mrocznej wodzie. Zastanawia się. W końcu wbija wzrok w strapioną dróżniczkę.

- Nie - mówi stanowczo. - Jestem przekonany, że prezes misji Stromberg się myli. Bóg nie ukarze pani Brogren ani pana Olssona za takie wykroczenie. Bóg nie jest małostkowy, wypada jedynie ubolewać, że godzi się na głupotę i pamiętliwość swoich parafian. Jeśli nękają panią takie myśli, radziłbym porozmawiać z panem Olssonem. Chętnie udzielę wam ślubu, gdybyście podjęli taką decyzję. Wystarczy napisać słowo. Jak pani wiadomo, jestem teraz w Dufnas.

Tłusta kobieta przez moment nie może z siebie wydobyć głosu, kiwa więc głową i przetyka ślinę, tak, rozmawiam z Olssonem, w czwartek jadę do szpitala, dadzą kogoś na zastępstwo z Leksandu.

- Do widzenia, pani Brogren.

- Do widzenia, pastorze.

Pu kłania się w milczeniu i siada na bagażnik, ojciec stawia prawą stopę na ośce tylnego koła, lewą trzyma na pedale, dzięki czemu z niezłą szybkością mkną ku rzece. Pu ścisną ojcowy kapelusz i szeroko rozstawia nogi; trzeba uważać na szprychy.

W oddali gwizdże pociąg, poza tym panuje niczym nie zmacony niedzielny spokój. Ostro zalatuje krowami i macierzanką. Na drogę wychylają się wątłe kłosy żyta, chłoszczą gołą nogę Pu.

Pu czuje, że ojcu jest wesoło, więc też się rozjaśnia. Ojciec gwizdże, potem nuci, wreszcie śpiewa:

Liśćmi bogate konary

a naszej ziemi proch szary

szata zdobi zielona.

Kwiecia mnogość wielobarwna

cieszy bardziej niżli sławna

uczoność Salomona.

Ojciec hamuje. Ostry zakręt w prawo, piasek, ślisko: Musimy uważać, żeby nie wylądować na uszach! Jak będzie kołysało, trzymaj się mocno. Daj mi kapelusz, włożę go na głowę, na udar jak znalazł. Pu chwycił bagażnik dwiema rękami. Ojciec pedałuje ostrożniej. Tak, tu trzeba uważać, mądrzy się Pu. Przewrócimy się, to po nas.

Pu i ojciec szczęśliwie pokonują niebezpieczny odcinek i z przyzwoitą prędkością staczają się po lekkiej pochyłości wzdłuż bruzdy rzeki. Kola gwizdzą i chrzęszczą, połyskuje ciemne lustro wody, drewno płynie niespiesznie, spiętrza się przy łańcuchach. Ściana burzowych chmur podniosła się nad graniami mniej więcej na szerokość palca. Ojciec dzielnie pedałuje, podśpiewując. Pu nie rozpoznaje melodii. A może to nie jest żadna melodia? Teraz ojcu dopisuje humor, ale wyprawy z nim bywają zazwyczaj ryzykowne. Nigdy nie wiadomo, czym się skończą. Czasem jest w humorze cały dzień, czasem, ni stąd, ni zowąd, dopadają go demony, staje się wtedy małowówny, zamknięty w sobie, drażliwy.

- No co, chyba nie żałujesz, że wybrałeś się na wycieczkę?

Ojciec przerywa nucenie i poklepuje Pu po kapeluszu.

- Nie - kłamie Pu, myśląc z melancholią o pociągu i torach, które miał układać między wychodkiem a ściętą brzozą.

Cały czas z górki! Można by puścić długi skład osobowy, dojechałby spokojnie aż do zwrotnic, udając elektryczną kolejkę djursholmską.

Przy promowisku stoi już parę bryczek z parafianami, którzy witają pastora. Ojciec uchyla kapelusza, odwzajemnia pozdrowienia. Na przejazd czekają też zgarbiony starzec w skórzanej czapce i jego powalana gnojem krowa. Oboje cuchną, wokół nich chmary dużych

niebieskawych much. Starzec nie wydaje się tym speszony. Nad wodą snuje się kilku chłopców. Są boso. Wybierają się nad Djuptjarn na okonie.

Nad rzeką wiszą stalowe liny. Przyczepiony do nich żelaznymi pierścieniami i bloczkami prom przeciąga się ręcznie. Pasażerowie płci męskiej chwytają za drewniane rączki na linkach. W ten sposób płaskodenny statek kursuje od brzegu do brzegu, przecinając czarną, w tym miejscu pogłębioną rzekę. W jego burty uderza głucho dryfujące drzewo.

Ojciec wdaje się w pogawędkę z dwiema kobietami siedzącymi w faetonie. Młodsza jest w stroju parafialnym, starsza nosi żałobę, mimo opalenizny ma poszarzałą twarz. Przygląda się swym płamistym dłoniom i milczy. Mówi młodsza, barwnym dialektem, przywołującym na myśl górskie wędrowanie. Ojciec kiwa głową i słucha: Aha, ach, tak, tak szybko? Chyba zupełnie nieoczekiwanie? Był taki żwawy, w sianokosy uwijał się jak zwykle, potem miał jechać na zawody strzeleckie, tak, to było w ubiegłą niedzielę. Kiedy matka przyniosła kawę, leżał z głową na bok i z zamkniętymi oczami, pomyślała, że znów zasnął. A on nie żył.

Pu siedzi na pokładzie, na samym przodzie. Zdejmuje sandałki, spuszcza nogi do wody, która mimo pełni lata jest lodowato zimna. Cmokta i mlaska wokół stóp Pu.

Ledwie prom odbija od przycumowanej do brzegu, rozhuśtanej tratwy, ojciec zostawia kobiety, bierze drewniany uchwyt i przyczepiwszy go do stalowej liny, pomaga mężczyznom w przeciąganiu promu na drugą stronę rzeki.

Pu przysuwa się jeszcze bliżej krawędzi; woda przyjemnie chłodzi swędzące ukłucia komarów pod kolanami. Nagle ktoś łapie go za ramiona, odciąga i wali w policzek, raz, potem drugi. Ojciec jest wściekły: przecież ci zabroniłem! Nie rozumiesz, że może cię wessać i nikt nawet nie zauważy, że zniknąłeś? I kolejny siarczysty policzek, w sumie trzy. Pu patrzy na ojca, nie płacze, nie tutaj, nie przy obcych. Nie płacze, ale nienawidzi: pieprzony cham, zawsze by tylko bił, jak wrócimy do domu, wykończę go, wymyślę jakąś cholernie bolesną śmierć, będzie zebrał o litość.

Kłody przewalają się z głuchym łoskotem, szumi woda, słońce przypieka. Pu staje z boku. W głowie pożar, szczypią powieki. Kobiety w faetonie widziały całe zajście, kiwają głowami i coś szepczą. Mówi młodsza. Pu jej nie słyszy, widzi tylko ich plecy, ulokował się na rufie. Ojciec pomaga przeprowadzić prom, zмага się z tym upiornym pagajem, jest zły, co nie uchodzi uwagi Pu. Zdjął marynarkę, zakasał rękawy koszuli, kapelusz na karku.

\*\*\*

Jeszcze jedno spojrzenie w przyszłość.

- Jaki popełniłem błąd?

Ojciec siedzi za biurkiem, ja zapadłem się w skórzany fotel, w głębi pokoju. Za oknem jasnoszary zimowy dzień, na dachach i w powietrzu śnieg. Ojciec patrzy na mnie, w

czworokacie okna odbija się ciemna sylwetka. Z trudem rozróżniam rysy jego twarzy, ale głos słyszę wyraźnie.

- Jaki popełniłem błąd?

Znowu to samo pytanie, i co ja mam odpowiedzieć? Na biurku leży dziennik mamy.

- Otworzyłem drugą skrytkę bankową Karin i tam znalazłem kolejne zeszyty. Wyobraź sobie, pisała dziennik od marca tysiąc dziewięćset trzynastego, kiedy się pobraliśmy, aż do końca. Skończyła dwa dni przed śmiercią. Pisała codziennie.

- Czy ojciec o tym nie wiedział?

- Pewnego razu spytałem i Karin powiedziała, że robi takie krótkie notatki o tym, co się wydarzyło, ale nie, że...

Ojciec potrząsa głową, kartkuje zeszyt w brązowej okładce: codziennie.

- Próbuję coś z tego zrozumieć, chodzi mi o aspekt czysto praktyczny, matka pisała maczkiem... Muszę używać szkła powiększającego.

I jakby na usprawiedliwienie ojciec unosi szkło: codziennie, mikroskopijne literki, kody.

- Jej charakter pisma był zazwyczaj wyraźny, czytelny. Ale ten jest inny. I jeszcze skróty słów i imion, czasem coś w rodzaju szyfru, kompletnie niezrozumiałego.

Ojciec oddycha głęboko, po czym podnosi zeszyt. Wstaję, biorę go od niego. Rok 1927: Matka w szpitalu, radykalna operacja, macica, usunięcie jajników. Trzy miesiące. Lęk o dom i dzieci. Ojciec z wizytami codziennie: Nie mogę go prosić, żeby nie przychodził, męczy mnie jego niepokój. Jakbym powinna mieć wyrzuty sumienia, że tu leżę.

Czytam wolno, ze szkłem powiększającym, zamykam zeszyt i zwracam go ojcu, przesuwając po blacie biurka.

- Czytam i czytam. Stopniowo sobie uświadamiam, że nie znałem kobiety, z którą przeżyłem przeszło pięćdziesiąt lat.

Odwraca głowę, patrzy na padający śnieg i białe dachy. Jego kark jest długi i szczupły, włosy przerzedzone. Odległy głos dzwonów Jadwigi Eleonory. Nic nie wiem, mówi.

- Karin pisze o fiasku. O życiowym fiasku. Czy potrafisz to zrozumieć? Posłuchaj: "Któregoś dnia przeczytałam w jakiejś książce dwa słowa: >>życiowe fiasko<<. Dech mi zapało i pomyślałam, że to są właśnie te słowa: >>życiowe fiasko<<".

- Matka niekiedy dramatyzowała - próbuję.

- I pytam sam siebie - ojciec mówi wolno, ledwie słyszalnie - i pytam sam siebie, jaki popełniłem błąd.

- Ale matka i ojciec chyba ze sobą rozmawiali?

- Tak, naturalnie. Rozmawialiśmy. To znaczy mówiła Karin. Bo cóż ja? Karin miała tyle pomysłów na zmiany w naszym życiu. Chciała odpowiedzi na swoje pytania, ale co ja jej mogłem powiedzieć? Uważała, że jestem leniwy. Nie leniwy w pracy, ale w ogóle, rozumiesz.

Ojciec patrzy na mnie, nie widzę wyrazu jego twarzy, światło od okna jest zbyt ostre, ale w głosie słyszę wezwanie: powiedz coś, co by to wyjaśniło, co dałoby mi punkt oparcia.

- Śniło mi się tej nocy, że idziemy z Karin naszą ulicą i jak to czasem robiliśmy, trzymamy się za ręce. Przy chodniku, zamiast jezdni, była przepaść, a na jej dnie połyskiwała mętna woda. I nagle Karin puszcza moją dłoń i rzuca się w przepaść.

- Czasami wmawiam sobie, że matka jest przy mnie - mówię z wahaniem. - Wiem, że to rodzaj tęsknoty, nic więcej, ale...

- Aha - zgadza się ojciec - tak to jest. Najpierw człowiek odkrywa, że... nie, nie wiem... nie umiem tego wyjaśnić. Jaki popełniłem błąd?

- A skąd ja mam to wiedzieć?

- Jakbym żył całkiem innym życiem niż Karin. Nigdy nie uciekałem się do Boga. Zawsze myślałem, że takie jest moje życie i niewiele się na to poradzi. Może byłem jak potulny pies. Jak Sudd?

Ojciec uśmiecha się smutno. Duch Sudda przemyka po dywanie, kładzie nos w ojcowej dłoni i przygląda się swemu najukochańszemu panu melancholijnym spojrzeniem.

- Matka była chyba inteligentniejsza ode mnie. Tyle czytała, jeździła za granicę... Ja najczęściej żyłem własnymi uczuciami i inspiracjami. Teraz jestem odarty ze wszystkiego. Nie zamierzam się skarżyć, nie myśl, że się skarżę, ale kiedy tak tu siedzę i staram się zinterpretować dzienniki matki. . .

- Jak się ojcu zdaje, czy matka chciała, żeby ojciec to czytał?

- Nie jestem pewien. Wydawało się czymś normalnym, jakby ustalonym, że ja umrę pierwszy. Taki żart, pojmujesz. Zwłaszcza ja... tak, naturalnie. I kiedy się okazało, że mam raka przełyku sprawa była jasna, przynajmniej ja tak myślałem, że jest jasna.

- Najgorszy był chyba nasz paniczny strach.

- Strach?

Ojciec patrzy na mnie, szczerze zmieszany, jakby po raz pierwszy usłyszał to słowo.

- Baliście się?

- Baliśmy się, że ojciec będzie zły. Zawsze spadało to tak nagle, czasem nie mieliśmy pojęcia, dlaczego ojciec nas łaje i bije.

- No, tym razem przesadziłeś.
  - Ojciec spytał, więc staram się odpowiedzieć.
  - Byłem chyba dosyć łagodny.
  - Nie. Baliśmy się ojcowych wybuchów wściekłości. Nie tylko my, dzieci.
  - Chodzi ci o matkę. . . że Karin miałyby. . .?
  - Myślę, że matka też się bała, ale inaczej. Nauczyliśmy się wykręcać, kłamać... Muszę jednak przyznać, że mówienie o tym po tylu latach wydaje się trochę krępujące... dwaj starsi panowie. I trochę komiczne.
  - Ale matka nie zwykła milczeć.
  - Była mediatorką, interweniowała. Ojciec zawsze się na przykład złościł na Daga. Pamiętam, ile razy oberwał. Trzepaczką. Na gołe ciało. Krwawił, łuszczyła mu się skóra. A matka patrzyła.
  - Robisz mi wyrzuty. . .
  - Nie, nie robię. Powiedziałem przecież, że uważam tę rozmowę za komiczną. Ale skoro ojciec spytał, odpowiadam. By wyrazić rzecz dramatycznie, byliśmy niesamowicie wystraszeni.
  - Pamiętam, Karin powiedziała...
  - Co powiedziała?
  - Czasem, kiedy była zła, mówiła że jestem "ograniczony". Pisze o tym w wielu miejscach. "Erik jest nieprzejednany. Erik nigdy nie przebaczy i nie okaże wyrozumiałości, taki z niego ksiądz. Erik jest nieświadomy siebie".
- Ojciec gaśnie, wspiera głowę na dłoni.
- Dosięła mnie kara, prawda?
  - Kara?
  - Nie sądzisz, że czytanie dzień po dniu zapisków matki to dostateczna kara? Nie podobają jej się nawet moje kazania.
- Ojciec uśmiecha się sarkastycznie: Więc ty i twoje rodzeństwo powinniście być zadowoleni. Niektórzy uważają, że piekło jest już na ziemi. Obecnie jestem skłonny się z tym zgodzić. Nie, nie, nie. Co, odchodzisz?

\*\*\*

Prom przybija z głuchym tąpnięciem, woda splukuje deski pokładu, kolebie się pontonowy pomost, bryczki wytaczają się na ląd. Ojciec żegna się z matką i córką, chłopcy wybierający się nad Djuptjarn zbierają wędki, cześć Pu, mówią, na pewno widzieli, jak oberwał, wciąż pociąga nosem, jedzie na mszę do Granas. Starzec z powalaną krową drepce pod górę.

- Chodźże, głuptasie! - życzliwie odzywa się ojciec.

Pu stoi odwrócony, życzliwy ton kusi łyzy. Ojciec podchodzi i daje mu lekkiego kuksańca w plecy.

- Chyba rozumiesz, że się przestraszyłem, mogłeś utonąć i nikt by niczego nie zauważył.

Kuksa go jeszcze raz. Stoi za synem, rower oparł na biodrze.

Przewoźnik zaczyna wpuszczać na pokład pasażerów chcących się przeprawić na drugi brzeg. Ojciec wyciąga do syna swą dużą dłoń, rower opiera o siatkę zabezpieczającą. Sadowi się na odwróconej do góry dnem fasce i przyciąga Pu do siebie.

- Przestraszyłem się, rozumiesz. A jak się człowiek przestraszy, jest zły, chyba wiesz? Uderzyłem za mocno, po prostu tak wyszło, nie zdążyłem się zastanowić. I jest mi z tego powodu przykro. Dostałeś więcej, niż zasłużyłeś, i to było głupie.

Ojciec patrzy na Pu wyczekująco, teraz jego kolej. Pu nie chce patrzeć na ojca i przetyka łyzy, jasna cholera, kiedy ojciec jest taki miły, człowiek by się najchętniej szczerzył w uśmiechu, niech to cholera weźmie. Dlatego tylko kiwa głową: tak, tak, kapuję.

- No to w drogę - mówi ojciec, częstując Pu kłapsem w tyłek.

Żegna się z przewoźnikiem i toczy rower po śliskim pokładzie i pontonowym pomoście. W płytkiej przybrzeżnej wodzie śmiga ławica maleńkich uklei. Wszystkie jednocześnie podrygują, migocze lustro wody. Pu idzie boso, ojciec przyczepia sandały do tylnego bagażnika, ściąga walizkę rzemieniem.

Podejście od promowiska jest strome. Pu pomaga ojcu pchać rower. Na szczycie ściana upału, widok na otwarte pola i piaszczysty gościniec, który snuje się prostą nitką na zachód. Podmuchy wiatru wzbijają obłoczki miałkiego kurzu, spięte lśniąco czarne klamerkami czarne spodnie ojca szarzejają, czarne sznurowane buty spowijają pył.

Ojciec i Pu zjawiają się w Granas z dziesiątym uderzeniem dzwonu. Cienisty cmentarz, kilka kobiet w czerni porządkuje groby, podlewa kwiaty, grabi. Pod portalem miły chłód. Przewodniczący rady parafialnej prowadzi ojca do zakrystii. W zakrystii szafka, miednica i dzbanek, mydło i ręcznik; ojciec rozbiera się do pasa i myje się. Potem wyjmuje z walizki czystą białą koszulę, koloratkę, wykrochmalone mankiety i surdut. Przewodniczący krząta się obok.

- Kiedy pastor wejdzie na ambonę, proszę odwrócić klepsydrę, to stary zwyczaj w tym kościele, a modlitwę za zmarłych odmawiamy przed podzwonnym, czekam na "amen"



pastora i uruchamiam duży dzwon. Trwa to kilka sekund, bo mechanizm działa trochę opieszale. Proboszcz udziela właśnie komunii w Utby, może się odrobinę spóźnić, dlatego prosił mnie, bym pastоровi przypomniał, że po mszy odbędzie się na plebanii małe spotkanie przy kawie. A teraz poproszę o psalmy, zaraz je z chłopcem wywiesimy. Za dziesięć jedenasta dzwonię, i o tej porze zaczną się wszyscy schodzić. Do tego czasu przeważnie są na cmentarzu albo wdają się w pogaduszki.

Ojciec wypisał na dwóch kartkach po pięć psalmów, zaznaczając liczbę wersów. Jedna kartka dla przewodniczącego rady parafialnej, druga dla organisty. Staruszek werbuje Pu do pomocy. Ojciec siada za dużym dębowym stołem i pochyla się nad starannie napisanym kazaniem. Nie będziemy teraz pastоровi przeszkadzać, szepce przewodniczący i ciągnie Pu za rękę. Znasz cyfry? - pyta po chwili, otwierając czarną szafę, w której wiszą w rzędkach rnosieżne numerki.

Staruszek wchodzi na drabinę, a Pu podaje mu z szafy żądane cyfry; zawisną na dwóch czarnych tablicach w złotych ramkach, po prawej i lewej stronie prezbiterium. O konwersacji nie ma mowy. Zadanie jest wyjątkowo ważne: jedna zła cyfra i katastrofa gotowa.

Po pracy Pu wychodzi z przyjemnie chłodnego kościoła w upał, który łagodzą nieco cieniste wiązy. Niebo białe, ani jednej chmurki, bezdech, duchota. Jakieś trzmielce, komar na ramieniu, za murem ryczy krowa. Wygrabionymi żwirowymi alejkami spaceruje kilka osób w czarnych, niedzielnych strojach, przyciszone rozmowy. Pu kieruje się ku niewielkiemu kamiennemu budynkowi w północnej części cmentarza. Ciężkie, wysmołowane drzwi są uchylone. Wokoło żywej duszy. Pu dobrze wie, co to za dom, ale nie może się powstrzymać. Wślizguje się do środka: kamienna posadzka, surowe ściany, wzmocniony grubymi belkami drewniany sufit, niskie matowe okienka. Na krótszej ścianie prosty ołtarz: czarny drewniany krzyż, cynowe świeczniki, otwarta Biblia. Na prawej dłuższej ścianie półki, a na nich cztery trumny, różnych rozmiarów i roboty. Pośrodku na posadzce katafalk. Na katafalku biała trumna bez wieka, ustawiona pochyło. W trumnie młoda kobieta. Twarz zmizerowana, szara, wokół zamkniętych oczu sine cienie, nos ostry, pod brodą zbiór hymnów, na powiekach srebrne monety. W dłoniach, długich, wychudłych, hymny, koronkowa chusteczka do nosa i biały goździk. Odśloniętą twarz bombarduje z bzykiem kilka much, uderzają potem w matowe czworokątne okienka. Odór wędnących kwiatów i czegoś słodkawego, co wdziera się nosem i przenika skórą i trwa wiele godzin. Pu stoi długo. Do jego warg przykleja się nagle zbłąkana mucha, odgania ją, w panice.

Z alejki słyhać głosy i ciężkie kroki. Do środka wchodzi dwaj mężczyźni w ciemnych garniturach i białych szalikach, przeganiają Pu, ale bez gniewu, szybko o nim zapominają. Wieko trzeba przykręcić, zebrać kwiaty. Półki z trumnami zasłania się brudną kotarą, na ołtarzu zapala się świece. Drzwi na oścież, na chwilę zaglądną żałobnicy, chcą się pożegnać przed mszą.

- A, tu jesteś, Puniu - woła żona proboszcza i macha do niego.

Niesie przed sobą ogromny brzuch. Przydałoby się kółko. Kwiecista suknia jest wyraźnie za ciasna, na twarzy i opalonej szyi brązowią się plamy wątrobiane. Proboszczowa prowadzi za rękę syna.

- Dzień dobry, Puniu! Właśnie się widziałam z twoim tatą. Powiedział, że gdzieś tu cię znajdę. A to mój chłopiec, jest twoim rówieśnikiem. Skończyłeś osiem lat, prawda? Konrad skończy w przyszłym tygodniu. No, Konradku, przywitaj się grzecznie z Puniem.

Konrad jest niższy od Pu, ale za to szeroki w ramionach. Brzuch wydatny, ale nie tak jak u proboszczowej, słomiane włosy, oczy jasnoniebieskie, rzęsy białe. Dłonie i czoło w bandażach, różowe plamy. Cały Konrad cuchnie karbolem. Chłopcy witają się bez entuzjazmu. Małżonka proboszcza zadowolona, po mszy Pu i Konrad mogą się razem bawić, na przyjęciu będą ciasteczka i sok, ale nie muszą cały czas siedzieć z dorosłymi, dwóm małym urwisom na pewno się to znudzi.

Nim Pu zdążył się pozbierać, grzmia dzwony na mszę i proboszczowa bierze go za rękę i turla się z chłopcami do kościoła, do plebanijnej ławki. Muszę się wysikać, szeptem zażenowany Pu. Pospiesz się, przykazuje proboszczowa, i przepuszcza go. Pu przeciska się koło niej, z trudem, i pędzi za kościół, ku północnej ścianie. Kiedy sobie ulżył, rozgląda się. Jest tu tylko kilka nagrobków, zarośniętych, pochylonych. Pu wie, o co chodzi: Sąd ostateczny nadejdzie z północy i przewróci północną ścianę kościoła. Dlatego po tej stronie grzebie się tylko samobójców i złoczyńców. Ich zmartwychwstanie nie jest szczególnie ważne. Nic się wielkiego nie stanie, jeśli runie na nich mur, i tak pójda do piekła.

Dzwony wybrzmiały, rozlegają się pierwsze akordy pierwszego hymnu. Pu nieśmiało sunie środkowym przejściem. Przewodniczący rady parafialnej otwiera drzwi zakrystii, pojawia się w nich ojciec, gdy idzie, wzdyma się lekko czarna jedwabna peleryna. Pu łudzi się, że ojciec go nie zobaczy, płonne nadzieje, on widzi wszystko, teraz też, unosi brwi, zdziwiony, lecz jednocześnie się uśmiecha. Jesteśmy przyjaciółmi, myśli Pu. Ten duży mężczyzna w czerni jest moim ojcem. A ci wszyscy ludzie - nie tak ich znowu dużo - czekają, aż do nich przemówi i być może złąje. Pu przeciska się obok żony proboszcza.

Ojciec stoi przodem do ołtarza, potem odwraca się do zgromadzonych i intonuje: Święty, Święty, Święty jest Pan zastępów. Pełna jest wszystka ziemia chwały jego.

Pu, wbity między ścianę a ciężarną proboszczową, popada w odrętwienie. Wcale go to nie martwi, msza jest niewyobrażalnie nudna. Rozgląda się, to, co widzi, trzyma go przy życiu: obraz ołtarzowy, pomalowane okna, obrazy na ścianach, Jezus i złoczyńcy we krwi i męczarniach. Maria pochyla się nad Janem: "oto syn twój, oto matka twoja". Maria Magdalena, czy ta grzesznica pieprzyła się z Jezusem? W zachodnim sklepieniu tyczkowaty, przygarbiony Rycerz gra w szachy ze Śmiercią: od dawna stałam za twoimi plecami. Obok Śmierć ścina Drzewo Życia, na którym załamuje ręce przerażony kuglarz: "czy dla aktorów nie ma innych reguł?" Śmierć prowadzi korowód tancerzy do Krainy Ciemności, dzierży kosę jak sztandar, tańczą parafianie, na końcu przemyka trefniś. Diabły podtrzymują ogień, grzesznicy wpadają głowami do kadzi, Adam i Ewa poznają, że są nadzy, ogromne oko Boga zezuje zza Zakazanego Drzewa, a Wąż skręca się z radości. Nad południowymi oknami maszerują biczownicy, okładają się biczami, wrzeszczą z bojaźni grzechu.

Pu chyba się nieco zdrzemnął, bo ojciec jest już na ambonie i czyta tekst ewangelii na Dzień Przemienienia Pańskiego: . . . i prowadzi ich na wysoką górę, na osobność. I został przemieniony przed nimi, i zajaśniało oblicze jego jak słońce, a szaty jego stały się białe jak światło. I oto ukazali się im: Mojżesz i Elias, którzy z nim rozmawiali. Na to odezwał się Piotr i rzekł do Jezusa: Panie! Dobrze nam tu być; i jeśli chcesz, rozbiję tu trzy namioty: dla ciebie jeden, dla Mojżesza jeden i dla Eliasza jeden. Gdy on jeszcze mówił, oto obłok jasny

okrył ich i oto rozległ się głos z obłoku: Ten jest Syn mój umiłowany, którego sobie upodobałem, jego słuchajcie! A gdy to usłyszeli uczniowie, upadli na twarz swoją i zatrwożyli się bardzo. I przystąpił Jezus, i dotknął się ich, i rzekł: Wstańcie i nie lękajcie się!

Pu nie potrafi okiełznać wyobraźni, eksploduje wyraźnym obrazem: Wierzchołek skały w Dufnas, widok na wieś, rzekę, wrzosowiska i granie. Pu stoi... nie, unosi się kilka centymetrów nad kamieniem, sandały nie dotykają mchu. Jest w sięgającej kostek nocnej koszuli ojca, twarz świeci jak żarówka. Za nim wisi burzowa chmura, jest okrągła i niebieskoczarna. Przed nim stoją Dag i bracia Frykholmowie. Gapią się z głupimi minami, są przerażeni. Chmura otwiera się, szczeliną wytryskuje światło, przestworza tnie dudniący głos, podobny do głosu ojca: Ten jest Syn mój umiłowany, którego sobie upodobałem, jego słuchajcie! Grzmot, białe światło gaśnie, Dag i bracia Frykholmowie padają na ziemię i kryją twarze w dłoniach. Pu podchodzi do nich i mówi łagodnie: Wstańcie i nie lękajcie się!

Po mszy kawa u proboszcza, są na niej przewodniczący rady parafialnej z astmatyczną małżonką i kilka członkiń dobroczynnego kółka krawieckiego z Granas. Konrad i Pu siedzą przy osobnym stole, dla dzieci, są ciastka i sok z czarnej porzeczki. Pochyliła się nad nimi proboszcz, nawet urokliwy, ma białe sztuczne zęby i silne szkła. Są wolni, mogą już opuścić kościelną wspólnotę.

- Mam egzemę - informuje Konrad. - Mam egzemę na rękach i na głowie, bez przerwy mnie swędzi, a najgorzej jest latem.

Konrad otwiera drzwi do swojego pokoju i przygląda się Pu wyniośle: I co ty na to?

Pokój wystrojem przypomina kaplicę. Na szybach kolorowa bibułka, pod krótszą ścianą ołtarz; mosiężny siedmioramienny świecznik i rozłożona Biblia. Nad ołtarzem kolorowa ilustracja z jakiegoś chrześcijańskiego magazynu w pozłacanych listewkach. Pośrodku w rzędzie kilka stołków nie do pary. W kącie małe organy, na nich nuty i zbiór hymnów. Na ścianach, w ramkach, ryciny z motywami biblijnymi. Cuchnie karbolem i zdechłymi muchami.

- No?! - ponagla Konrad.

- Można otworzyć okno? Cholernie tu śmierdzi.

- Nie, nie można, bo podrze się bibułka. Co wolisz? Kazanie czy pogrzeb? Mam w garderobie trumnę.

Konrad otwiera drzwi do zagraconego schowka, w którym, pośród najróżniejszych rupieci, stoi biała dziecięca trumienka.

- Dziękuję, nie skorzystam - mówi uprzejmie Pu. - Nie chcę się bawić ani w mszę, ani w pogrzeb. Nie wierzę w Boga.

- Nie wierzysz w Boga? Idiota!

- Bóg to pic na wodę, gówniany Bóg, jak się pomyśli, jak on to wszystko urządził. Sam jesteś idiota.

- Co? Ja jestem idiota?!

- Tym, którzy wierzą w Boga, brak piątej klepki, tobie, mojemu staremu i całej reszcie.

- Zamknij dziób!

- Sam zamknij.

Pu i Konrad zaczynają się popychać, potem plują na siebie. Konrad uderza Pu w pierś. Pu kontruje ciosem w policzek, bandaż na głowie przeciwnika zmienia położenie. Walka coraz agresywniejsza. Pu szybko zdaje sobie sprawę z przewagi Konrada, pozwala się przewrócić, ale Konrad nie jest zadowolony. Siada okrakiem na Pu i toczy ślinę, tak jest, nie pluje, tylko toczy ślinę.

- Poddaję się - mówi Pu.

W Dufnas oznacza to przyznanie się do porażki i zakończenie działań wojennych. W Granas ta zasada najwyraźniej nie obowiązuje. Konrad zaczyna mu wykręcać rękę: Powiedz, że wierzysz w Boga!

- Aj, to boli! - skomle Pu. - Puść mnie. Puszczaj!

Konrad nie puszcza: Powiedz, że wierzysz w Boga.

- Nie.

- Mów!

- Będę ci wykręcał rękę tak długo, aż powiesz.

- Aj! Aj! Do cholery!

- No mów!

- Aj! Powiem!

- Przysięgnij na krzyż, że wierzysz w Boga.

- Przysięgam na krzyż, że wierzę w Boga.

Konrad natychmiast wstaje i energicznie drapie się w bandaż. Pu siada, z nosa leci krew, ale niegroźnie, zaledwie kilka kropel.

- To zresztą naukowo udowodnione, że Bóg istnieje - monotonicznie recytuje Konrad. - Starzec o nazwisku Einstein powiada, że zobaczył Boga w swoich matematycznych formułach. No i co?

Pu rezygnuje z odpowiedzi. Postanawia okazać przeciwnikowi pogardę wyniosłym milczeniem. Nadąsani, siadają każdy w swoim kącie. Pu znajduje egzemplarz "Allers

Familjejournal" i zatapia się w lekturze komiksu "Willy i Dick w dżungli". Konrad drapie się w egzemę i dłubie w nosie; to, co wydlubie, wkłada do ust.

Pożegnaniu towarzyszy szczerą ulgą, dyktowana nudą bycia razem. Spokój i lekkie rozbawienie dotleniają krew aż po najmniejsze rozgałęzienia naczyń wieńcowych. Ojciec podaje rękę, jest swoim najmilszym "ja". Proboszcz trzyma rower, małżonka pomaga przytroczyć walizkę. Dziękujemy za piękne i poruszające kazanie! Dziękuję za wspaniałą kawę i wspaniałe towarzystwo. Odwiedźcie nas w Dufnas, ja i Karin bardzo byśmy byli radzi! Nie zostaniecie do obiadu? Znosi się na paskudną pogodę. Nie, dziękuję, obiecaliśmy wrócić przed czwartą, musimy zdążyć na pociąg w Djuras. A burza? Po tej suszy może straszliwie lać! Przelotna ulewa będzie prawdziwie ożywcza. Nie rozpuścimy się, prawda, Pu? Co? Pu rozdziawia usta, nie słuchał, zastanawia się, jak by tu przywalić Konradowi, ale nic szczególnego nie przychodzi mu do głowy. No to jedziemy. Żegnajcie. Żegnajcie. Pożegnaj się z Pu, żona proboszcza ponagla swojego naburmuszonego syna. Do widzenia, bąka Konrad. Jeśli myślisz, że Bóg istnieje, jesteś głupi jak but, szepce Pu i czym prędzej wdrapuje się na przedni bagażnik.

I odjeżdżają aleją spod plebanii. Proboszcz i żona machają. Proboszczowa chwyta prawą rękę Konrada i zmusza go do machania. Ojciec podnosi rękę, ale się nie odwraca. Gwiżdże, a Pu wyciąga nogi, mają niezłą prędkość na łagodnym stoku.

- Najpierw pommac w sklepiku, a potem kąpiel w Svartsjon i posiłek. Chyba już zgłodniałeś?

- Starłem się nie jeść tych ohydnych ciastek proboszczowej - mówi Pu. - Cały czas myślałem o pommacu i kanapkach.

- I miałeś rację.

Ojciec klepie syna po lnianym kapeluszu.

Sklepik jest piętrową rudera. Ścianę oblepiają reklamy "Białego Niedźwiedzia" (pierze, nie przerywając snu), "Cukierków na piersi" Augustssona, "Ocznego kakao" (dwoje oczu gapi się w obłędzie), pisma "Tidsfordrif" (roześmiany staruszek ze sztuczną szczęką) i naturalnie tomteskur i pommaca.

Ojciec puka w oszklone drzwi wejściowe, w napis "zamknięte" na tle opuszczonej białej rolety. Po chwili słychać hałas i powłóczące kroki, roleta w górę i w szybie objawia się twarz Dzwonnika z Notre Dame. Na widok ojca przerażające stworzenie wykrzywia się w zachęcającym uśmiechu, klucz chrzęści w zamku i drzwi się otwierają.

Padają zwyczajowe frazy powitalne. Sklepiarz kuśtyka do magazynu i podnosi ladę chłodniczą. Wyjmuje dwie oszronione butelki pommaca i stawia na kontuarze. Ojciec pyta, co słychać. Stary drapie się w rzadką bródkę i mówi, że będzie burza, czuje to od paru dni. Rozumie pastor, jedyny pożytek z tych moich pleców jest taki, że przepowiadają pogodę.

Kładzie ospowate dłonie na kontuarze, ciemnożółte paznokcie zaginają się. Mimo zapachu solonych śledzi, przypraw i skóry oddech sklepiarza dominuje nad wszystkim niczym silny głos fletu nad połączonymi dźwiękami pozostałych instrumentów.

- Może tutkę cukierków dla chłopaczka? - proponuje starzec.

- Sam nie wiem - waha się ojciec, patrząc na Pu. - Matka zabroniła mu słodczy, psują zęby. Ale mała tutka, czemu nie.

Stary ściąga zatłuszczoną czapkę i macha nią wkoło: Już się robi. Już się robi. Wystawia pojemnik z kolorowymi cukierkami, z brązowego pakowego papieru zwinnie skręca tutkę i nachyliwszy szklany cylinder do Pu, zdejmuje pokrywkę. Proszę się częstować, młody panie Bergman. Stop, dziękuję, mówi ojciec. To stanowczo za dużo. Ile kosztuje ta przyjemność? Pięćdziesiąt ore za pommac, pastorze. Cukierki na dokładkę. Ojciec wyciąga pokazałą portmonetkę i wyłuskuje na kontuar dwie dwudziestki i pół.

- Kąpiel świetnie nam zrobi!

Ojciec skręca do Svartsjon, w boczną dróżkę. Wąska i kręta, przecina pastwisko z wylegającymi się w chmurze much i gzów krowami, po czym zapada w gęsty liściasty las i prowadzi nad wąski piaszczysty brzeg. Svartsjon jest okrągłe i nie bez przyczyny zwie się czarnym jeziorem. Kwaskowo pachną paprocie i gnijące sitowie.

Ojciec i Pu rozbierają się. Ojciec wskakuje do lodowatej wody, rzuca się na plecy, parska, młóci rękoma, potem się obraca i płynie, wzbijając fontanny wody. Pu jest ostrożniejszy: z takim Svartsjon nie ma żartów, tam w dole, kilka tysięcy metrów pod powierzchnią, z całą pewnością czają się potwory bez oczu, galaretowate monstra, żmijopodobne paskudztwa o ostrych zębiskach. I jeszcze szkielety zwierząt i ludzi, którzy tonęli tutaj od tysięcy lat. Pu robi kilka pływackich ruchów, jasną, brązowawą wodę zamyka się wokół niego. Zanurza się, nie widzi dna, tylko ciemność, ani śladu roślinności, okonków czy uklei, nic.

Siedzą na brzegu i schną w rojach owadów. Cień brzoź i olch nie przynosi ochłody. Ojciec ma proste ramiona, wysoką klatkę piersiową, silne długie nogi i spore nieowłosione przyrodzenie. Na jasnej skórze umięśnionych rąk mnóstwo przebarwień. Pu ulokował się między ojcowymi kolanami, podobnie jak na starym tryptyku Jezus między kolanami Boga. Ojciec znalazł kępkę żółtych kwiatków z czerwonymi plamkami. Delikatnie rozbiera kielich.

- To berło króla Karola: *Pedicularis sceptrum-Carolinum*, tu, na południu, jest bardzo rzadka, chętnie wziąłbym parę do herbarium, chociaż nie, chyba nie. Jak je włożę do walizki, zaplamia mi ubranie.

Wydłubuje malutki groszek z wnętrza kwiatu, wkłada go do ust i żuje w zamyśleniu.

- Od nasionek berła dostaje się podobno zawrotów głowy i zaczyna się nagle mówić w obcych językach, ale to pewnie tylko bajki.

I odkłada zbadane zioło.

Ściemnia się, woda czernieje, nad kotliną zawisa pyliście szare niebo. Kilka os przypuszcza atak na butelkę po pommacu i resztki masła. Nagle na połyskliwej powierzchni wody pojawiają się niezliczone kółka i niemal od razu znikają. W oddali niesie się echem grzmot. Wiatr umilkł.

- Oho, zanosi się na burzę - mówi zachwycony ojciec. - Lepiej ruszajmy.

Kiedy Pu i ojciec wyjeżdżają z lasu na rozległą równinę, ścianę chmur nad granią przecinają pionowe błyskawice, grzmoty walą to bliżej, to dalej, kurz ścieżki przygniatają grube krople, tworząc najróżniejsze wzorki. Ojcu to najwyraźniej nie wadzi, gwizdże jakiś stary przebój i dziarsko pedałuje.

- Moglibyśmy tak jechać dookoła ziemi, ojciec i ja - mówi Pu.

Ojciec śmieje się, zdejmuje kapelusz i powierza go pieczy syna. Obaj są w humorze. Rzucili światu wyzwanie, niestraszna im żadna burza.

- Ja też jestem niedzielnym dzieckiem - mówi nagle ojciec.

Gdy suną pod górę, opodal wyludnionej wioski, zaczyna walić grad. Zrywa się huragan, po czarnym niebie tańczą błyskawice, grzmoty przypominają kanonadę, a zamiast grubych deszczowych kropli spadają lodowe kulki. Ojciec i Pu biegną do najbliższej opuszczonej zagrody i kryją się w starej wozowni. Jest tu kilka porzuconych taczek i fura z podniesionymi dyszlami. Rwące potoki deszczu wlewają się dziurami w dachu. Pod tym, co niegdyś było paszą, można znaleźć schronienie i osłonę przed wiatrem.

Siedzą na zwalonej belce i patrzą. Na pochyłości stoi rosła brzoza. Dwa razy trafia w nią piorun, z pnia bucha dym, masy liści kołyszą się i wiją jak w męczarniach, grzmoty wstrząsają ziemią. Pu zatyka uszy. Jest blisko ojca, tuż przy jego kolanach. Ojcowe spodnie czuć wilgocią, wyciera rękawem mokre włosy i twarz.

- Boisz się?

- A jeśli to sąd ostateczny - mówi nagle Pu i zwraca ku ojcu bladą twarz.

Ojciec wybucha śmiechem.

- A co ty wiesz o sądzie ostatecznym?

- Anioły dmą w trąby i gwiazda, która się nazywa Piołun, spada do morza, i morze zamienia się w krew.

- Jeśli to jest sąd ostateczny, to dobrze, że jesteśmy razem, prawda, Puniu?

- Muszę się wysikać - mówi Pu.

Podnosi się drżący i idzie za ścianę. Widzi ojca od tyłu. Wyłuskał fajkę, nabija ją i zapala.

Ciepłe podmuchy wiatru nagle ochłodziły. Gdy Pu wraca, ojciec otula syna marynarką.

\*\*\*

Ostatnie spojrzenie w przyszłość.

Data: 22. marca 1970. Ojciec jest umierający. Traci świadomość, zdarzają się krótkie momenty przytomności. Stoję przy nogach łóżka, siostra Edit pochyla się nad nim. Świeci nocna lampka, przykryta cienkim szalem. Zegarek na nocnym stoliku tyka gorliwie. Obok taca z wodą mineralną i szklanka z rurką. Twarz ojca wymizerowana, to twarz Śmierci.

- Profesor mówi, że ojciec jest nieprzytomny, ale to nieprawda. Gdy z nim rozmawiam i trzymam go za rękę, czuję, jak lekko ściska mi dłoń. On mnie słyszy i rozumie.

Ojciec otwiera oczy i patrzy na Edit, poznaje ją i porusza głową. Edit podaje mu wodę. Twój chłopiec jest tutaj, mówi cicho, wyraźnie.

Podchodzę do wezglowia, ojciec odwraca głowę. Choć twarz jest w cieniu, widzę jego spojrzenie, zadziwiająco jasne. Z ogromnym wysiłkiem podnosi rękę i po omacku szuka mojej. Po kilku sekundach ciszy zaczyna mówić, najpierw porusza wargami, po chwili pojawia się głos, ale nie rozumiem. Ojciec mówi urywanie i bełkotliwie, jasny wzrok nieustannie mnie lustruje.

- Co on mówi? - pytam siostrę Edit. - Nie rozumiem.

Edit siada na krawędzi łóżka, pochyla się, żeby pochwycić słowa, chyba rozumie, bo kiwa głową.

- Co on mówi? - szepczę.

- Ojciec cię błogosławi. Nie słyszysz? . . . Niech ci da pokój. . . w imię Ducha Świętego. . .

To tak nagle i nieoczekiwane, że nie potrafię się bronić. Ojciec zamyka oczy, wycieńczony wysiłkiem, znów popada w odrętwienie. Uwalniam się od jego dłoni i wychodzę do jadalni. Pokój spowijają ciemności, co przypomina mi jadalnię mojego dzieciństwa: trzy okna z ciężkimi, zielonymi zasłonami, stół powleczonej ciemną bejcą, staroświecki brzuchaty kredens z matowo połyskującą zawartością, ciemne obrazy w złotych ramach, niewygodne krzesła z wysokimi oparciami. Stoję przy krótszej krawędzi stołu, mam suche oczy i lęk w sercu. Siostra Edit otwiera drzwi: Nie przeszkadzam? Nie, nie. Nie zapalaj światła! Tak jest dobrze.

Edit podchodzi do okna, patrzy na cichą zaśnieżoną ulicę, krzyżuje ręce na piersiach, na jej twarzy spokój.

- Dlaczego jesteś taki zatrwożony?

- Zatrwożony? Nie, nic takiego nie czuję. Może trochę współczucia, trochę czułości, trochę lęku przed śmiercią, nic więcej. Jest przecież moim ojcem!

- W takiej sytuacji trudno chyba cokolwiek czuć. To się może przydarzyć każdemu.

- Nie o to chodzi. Patrzę na niego i myślę, że powinienem zapomnieć, ale nie zapominam. Powinienem wybaczyć, ale niczego nie wybaczam. Mógłbym przynajmniej poczuć odrobinę przywiązania, ale nie potrafię się zdobyć na przywiązanie. Jest mi obcy. Nigdy nie będzie mi go brakowało. Matki mi brakuje. Brakuje mi jej każdego dnia. Ojciec jest już zapomniany,



nie myślę o osobie, która tam umiera, jej w ogóle nie znam, ale o człowieku, który grał w moim życiu jakąś rolę, jest zapomniany, nie ma go. Chociaż nie, to nieprawda. Bardzo bym chciał o nim zapomnieć.

- Muszę wracać. Pójdiesz ze mną?

- Nie.

- No to do widzenia i trzymaj się.

- Wolałbym tego tak nie odczuwać.

- Nie możesz rozkazywać swoim uczuciom.

- Nie bądź. . .

- ... zła. Zrozum, Erik jest moim najdroższym przyjacielem, jeszcze z dzieciństwa. Dla mnie to ktoś zupełnie inny niż dla ciebie. Nie znam osoby, o której mówisz.

Edit kiwa głową i lekko się uśmiecha. Stoję przy ciemnym błyszczącym stole. Przez zamknięte drzwi słyszę głos Edit.

\*\*\*

Warto by tu jeszcze dodać coś, co niewielki ma związek z tą historią, jako że powyższa scena rozgrywa się przeszło dwadzieścia lat temu. Niemal niepostrzeżenie zmienił się mój stosunek do ojca. Z nieznośnie dotkliwym wzruszeniem myślałem o jego spojrzeniu, gdy wydobywszy się z krainy mroku, zesłał na syna boże błogosławieństwo. Zacząłem badać wczesne dzieje moich rodziców, dzieciństwo i okres dorastania ojca, dostrzegłem powtarzający się ciąg wzniosłych zmaganiań i upokarzających porażek. Dostrzegłem też troskę, czułość i niebywały zamęt. I uśmiech na jego twarzy, i niebieskie spojrzenie, przyjazne i ufne. Widziałem, jak się starzał, ciężko upośledzony, kaleki, z własnego wyboru wyizolowany wdowiec: proszę, nie oskarżaj mnie, proszę, nie trać czasu, na pewno masz ważniejsze sprawy. Proszę, zostaw mnie w spokoju. Czuję się znakomicie, pod każdym względem. Dziękuję, to miłe, dziękuję, ale nie, oglądanie mnie przy stole i tych moich niezdarnych rąk musi sprawiać bardzo przykre wrażenie.

Jest uprzejmie nieprzystępny, zadbany, starannie ogolony, schludny, głowa lekko mu się trzęsie, nie patrzy na mnie błagalnie, nie oczekuje współczucia. Wyciągam dłoń i proszę go o wybaczenie, teraz, dzisiaj, w tej chwili.

\*\*\*

Ojciec zdejmuje marynarkę i otula Pu. Jest ciepła ciepłem jego ciała, niczym przyjemny wilgotny okład. Pu już nie marznie.

- Nie marzniesz?

- Nie. Jest mi ciepło.

Krajobraz niknie za ścianą deszczu. Gradobicie ustało, ale na ziemi wciąż mrowie lodowych drobinek. Przed wozownią tworzy się jezioro i stopniowo podmywa kamienną podmurówkę. Wkrótce zewsząd otacza ich woda. Siwe płaskie światło przywodzi na myśl zmierzch bez zachodu słońca. Grzmoty coraz odleglejsze i stłumione, ale równie uporczywe i bardziej przerażające. Pada rześście.

Ojciec i Pu ruszają w drogę. Ścieżka jest rwącym strumieniem, niełatwo ją pokonać na rowerze. Nagle przednie koło buksuje. Pu podkurcza nogi i turla się po trawiastym zboczu. Ojciec zostaje. Kiedy Pu szybko się podrywa, on leży nieruchomo; jedna noga pod rowerem, głowa do przodu. Pu uświadamia sobie, że ojciec nie żyje.

Chwilę później ojciec odwraca głowę i pyta, czy Pu nic się nie stało. Pu mówi, że trochę się zamoczył, bo wylądował w kałuży, i macha jak kłown długimi rękawami marynarki. Ojciec uśmiecha się przyjaźnie i gramoli się spod roweru; oho, tylna opona przebita. Znow się śmieje i kręci głową, musimy drałować na piechotę, Puniu.

Do stacji kolejowej jest ćwierć mili\*. Ojciec i Pu są mokrzy i ubłoceni. Na ojcowym policzku zadrapanie. Pada nieustająco, deszcz jest chłodny. Ojciec pcha popsuty rower, Pu pomaga.

Faro, 1 sierpnia 90[KM1]

\* Książka Bergmana, która ukazała się w Szwecji w roku 1991, a w przekładzie polskim pojawi się w końcu roku 1994 nakładem "Czytelnika" (przy. tłum.).

\* Fjardingsvag - 1/4 starej mili szwedzkiej, czyli ok. 2672 m (przyp. tłum.).

KONIEC